Nr. 49. Warszawa, dnia 5 Grudnia (23 Listopada) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 05.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Od abonentów naszych spodziewamy się w przyszłym, dwunastym roku pracy życzliwego poparcia. Jej celów i kierunków określać tu nie będziemy, gdyż uczyniliśmy to w jedenastu rocznikach naszego pisma.

Prawda wychodzić będzie nadal w tej samej objętości, tj. w półtora-arkuszowych numerach co tydzień, z kwartalnym dodatkiem książkowym. Po ukończeniu w nim Rozwoju moralności rozpoczniemy druk cennego dzieła naukowego, o którem zawiadomimy niebawem. Dla uniknięcia przerw i opóźnień w wysyłce pisma, prosimy o wczesne wnoszenie przedpłaty.

Uwaga. Przy przesyłaniu mniejszych należności markami pocztowemi prosimy o nienaklejanie ich w liście.

POLITYKA.

MOWA CAPRIVIEGO.

Był to już, jak niemcy mówią, najwyższy czas, ażeby kierownik ich polityki odezwał się i nauczył ich, co mają myśleć zarówno o swem własnem położeniu, jak o ogólnem. W ostatnich bowiem miesiącach nagromadziło się tyle powodów do niepokoju, że wystąpienie kanclerza z mową wyjaśniającą wątpliwości zaczynało być naglącem. Wprawdzie podczas lata naród słyszał z ust swego monarchy zapewnienia pokojowe, ale zwykle kończone stereotypową zwrotką: „gdyby jednakże miała wybuchnąć wojna“ itd., która nie budziła ufności do jutra. Uroczystości kronsztadzkie i objawy ścisłego zbliżenia się między Rosyą a Francyą przygniatały coraz bardziej niemców zmorą trwogi. Znana mowa cesarza austryackiego dolała oliwy do tlejącego ognia, którego nie zgasiły dmuchania Rudiniego, Salisburego i Kalnokego. I w stosunkach wewnętrznych zapanowało przygnębienie. Caprivi może być dobrym kanclerzem, zdolnym dyplomatą, ale jako człowiek chłodny, spokojny, klasyk, traktujący sprawy polityczne „mit einer Vornehmheit“ (z pewną dostojnością) nie dogadza swym rodakom, przyzwyczajonym przez jego poprzednika do energii i gorączkowości, do działań błyskotliwych i efektownych. Bismark sprawiał ciągły zamęt, warzył ukropy, gotował bigosy, rozszerzał naokoło siebie wrzawę i denerwacyę, a nawet wtedy, kiedy nic nie robił, umiał budzić podejrzenie, że coś knuje, mota, zastawia sidła i przygotowywa niespodzianki. Do ostatniej chwili swego urzędowania stał na niedosięgnionej wyżynie sławy, otoczony blaskami odniesionych tryumfów, siejący grozę, uważany za Jowisza z piorunem w ręku, za Atlasa, dźwigającego na swych ramionach kulę ziemską, za pierwszą przyczynę i ostatnią instancyę wszystkiego, co się stało lub stać miało. Po tym gromowładcy zajął miejsce generał, który nie mógł niczem zrównoważyć wielkości swego poprzednika, a nadto stał się przedmiotem ciągłych jego drwin i napaści. W *Hamburger Nachrichten* z właściwą mu samolubną zajadłością przyganiał wszystkim krokom rządu, dyskredytował lub wyszydzał jego uzdolnienia i czyny, usiłując doprowadzić opinię publiczną do tego wniosku, że Niemcy pod sterem ślepej lub zarozumiałej nieudolności stają się ofiarą rozstroju wewnątrz, a groźnego niebezpieczeństwa z zewnątrz. Zarówno więc na głosy popłochu, przepowiadające burzę, jak na te zarzuty, wprawiające naród w stan smutnych przewidywań, musiał Caprivi odpowiedzieć. To też mowa jego — jeśli tak rzec wolno — ma dwa fronty: jednym zwrócona przeciw alarmistom, drugim zaś — przeciw Bismarkowi. Co do pierwszego, kanclerz niemiecki obok Rudiniego i Kalnokego położył swoją pieczęć na rękojmi pokoju. Według niego chwila obecna nie ma ani jednego powodu nowego do obaw. Cesarz Wilhelm wbrew fałszywym pogłoskom wrócił z Narwy zupełnie zadowolony, spotkanie kronsztadzkie było tylko ujawnieniem się stosunków dawno istniejących. Niemcy pozostają w zgodzie ze wszystkiemi mocarstwami i w zupełnem ubezpieczeniu, gdyż siły wojskowe trójprzymierza najzupełniej wyrównywają potędze sojuszu francusko-ruskiego. Zresztą przy ocenianiu sił tego rodzaju nie należy rzucać na szalę samych cyfr żołnierza, ale także jego uzdolnienia. A pod tym względem Niemcy przez żadne inne państwo nie zostały prześcignięte… wyższone. Wieści o gromadzeniu wojsk ruskich nad granicą zachodnią, któremi prasa niemiecka ustawicznie przeraża naród, świadczą, zdaniem Capriviego, o zupełnej nieznajomości nietylko spraw wojskowych, ale nawet geografii. „Pragnąłbym — powiada on — ażeby ci panowie zaopatrzyli się w cyrkiel i mapę, na której, oznaczone jest rozstawienie garnizonów, każdy zaś kalendarz genealogiczny wskaże im kwatery głównych komend Rosyi i Niemiec. Jeżeli spojrzą na ruskie przy naszej granicy, przekonają się, że garnizon stoi od niej o 300 kilometrów. Weźcie tę odległość cyrklem, przenieście go na terytorium pruskie i zmierzcie, ile na tej przestrzeni u nas i w Austryi stoi korpusów, a przekonacie się, że jest ich więcej. Jak lekkomyślnie obchodzą się ludzie z cyframi, dowiódł mi przed paru dniami jeden przykład. Obiegła gazety wiadomość, że korpus, którego garnizon stoi daleko za Kijowem w Charkowie, został przyłączony do armii kijowskiej, która ma być przeznaczona przeciw Austryi. Fakt może być prawdziwy, ale Charków w linii powietrznej ku Lwowi leży od najbliższego punktu granicy austryackiej tak daleko, jak Koblencya w linii prostej przez Poznań od najbliższego miejsca granicy ruskiej. Nie słyszałem zaś nigdy, ażeby królewsko-pru-

ski 7 korpus w Koblencyi stanowił dla Rosyi niebezpieczeństwo wojny." Słowem Caprivi zaprzeczył bezwzględnie słuszności trosk o pokój chwjli obecnej i ażeby nie osłabić wagi swoich zapewnień, ogólnikowo tylko wspomniał, że armia niemiecka będzie powiększona z powodu... przyrostu ludności.

Bezimienna walka z Bismarkiem odbyła się po rycersku. Kanclerz postawił naprzeciw siebie „dziennikarza," któremu szczegółowo wytłomaczył, że ulgi paszportowe w Alzacyi i Lotaryngii były potrzebne dla samej ludności miejscowej, że mianowanie Stablowskiego arcybiskupem i dopuszczenie nauki języka polskiego nie jest ustępstwem szkodliwem dla państwa, że wreszcie rząd obecny spełnia swoje obowiązki należycie, chociaż nie hałaśliwie i bynajmniej nie składa się z takich niedołęgów, jak mniemają gazeciarze (z Friedrichsruh).

Po mowie Capriviego niemcy rzeczywiście uspokoili się. Tylko tu i owdzie odezwały się głosy: jednak to nie Bismark, jednak pod jego strażą spalibyśmy spokojniej. Zapewne, ale czy bezpieczniej?

Ze wszech stron pochwalono mowę za „żołnierską szczerość." Niewątpliwie rad on jest z tej pochwały, czy wszakże na nią zasłużył?

Z AUSTRYI.

Mowa tronowa cesarza Franciszka Józefa i różne jej skutki. — Koło galicyjskie niewinną przyczyną paniki giełdowej. — Wielka spekulacya Szepsa i echa jej w parlamencie. — Urzędowy wykład mowy cesarskiej. — Dziesięcioletni jubileusz hr. Kalnokego. — Minister Steinbach w opałach.

Mowa, jaką Franciszek Józef wygłosił, przyjmując delegacye, doczekała się rozmaitych niezwykłych następstw. W Berlinie, Paryżu i Londynie dała powód do tłomaczeń, mijających się z właściwą intencyą cesarza. W Wiedniu zrazu nie uważano jej za wyraz istotnie groźnej sytuacyi, a giełda nie zdradziła żadnego niepokoju. Fatalnym zbiegiem okoliczności Koło galicyjskie dało dopiero powód do olbrzymiego popłochu. Cesarz udzielił posłuchania prezesowi Jaworskiemu, zanim urzędownie ogłoszono decyzyę rządu w sprawie decentralizacyi upaństwowionych kolei galicyjskich. Sprawa ta, którą w jednym z poprzednich listów dostatecznie objaśniliśmy, załatwiona została nie zupełnie po myśli Koła, zawsze jednak Galicya otrzymała pewne ustępstwa. W rozmowie z Jaworskim cesarz wspomniał, że chwilowo możliwość wojny istotnie nie jest całkowicie wykluczona. Jaworski zakomunikował tę wiadomość towarzyszom, a od nich dostała się ona do M. Szepsa, redaktora dziennika *Wiener Tageblatt*, który jako galicyanin w ściślejszych pozostaje stosunkach z niektórymi członkami Koła. Nie ulega wątpliwości, że zręczny ten dziennikarz i finansista skorzystał ze sposobności, aby łącznie z całą grupą kapitalistów urządzić wielką spekulacyę giełdową. We dwa dni po audyencyi *W. Tageblatt* w wydaniu wieczornem ogłosił grubemi czcionkami słowa, które cesarz wyrzec miał w rozmowie z Jaworskim. Na giełdzie powstał popłoch niesłychany: wszyscy przekonani byli, że wojna za drzwiami, kursa papierów spadły w ciągu kwadransa o kilkanaście złr. Każdy drobniejszy spekulant pozbywał się swych papierów, aby nie stracić więcej jeszcze; wówczas kilka wielkich domów, które w poprzednim dniu na giełdach zagranicznych sprzedały ogromne ilości akcyj, zaczęły, niby dla ratowania drobnych spekulantów, skupować je za bezcen i w ten sposób osiągnęły olbrzymie zyski. Mnóstwo ludzi straciło podstawę bytu, kilku zaś wzbogaciło się w sposób niesłychany. O tyle zaś dziś życie społeczne i ekonomiczne związane jest z giełdą, że przez parę dni cały Wiedeń wrzał i kipiał. Jakie znaczenie przypisywano temu wypadkowi i jak wielkie było oburzenie, wywołane nadużyciem dziennikarskiem, tego dowodzi okoliczność, że w Radzie państwa wniesiono aż siedem interpelacyj, domagając się najsurowszego zbadania rzeczy i ukarania winnego. Hr. Taaffe przyrzekł, iż sądy zajmą się tą sprawą, Koło ze swej strony oświadczyło, że poczyni kroki dla wyśledzenia przebiegu zajścia. Lecz zachowanie się Szepsa, a raczej ton dziennika jego z góry dowodzi wszystkim ludziom, znającym stosunki, że rzecz ta minie bezkarnie, gdyż przedsięwzięto ją nie bez silnych „pleców." Jest to wybitny przykład nowoczesnego uprzywilejowanego korsarstwa. Opinia publiczna twierdzi, że również kilku członków Koła brało udział w tej spekulacyi, chociaż ono z oburzeniem odpiera to posądzenie. Drogi, któremi płyną zyski giełdowe, są niedocieczone; lecz wolimy przypuścić, że Koło wyzyskane zostało przez finansistów wiedeńskich.

Ażeby położyć koniec pesymistycznym wykładom mowy tronowej, hr. Kalnoky zabrał głos w wydziale budżetowym delegacyi austryackiej i stwierdził z naciskiem, że w danej chwili nie istnieje żadna kwestya, któraby dawała powód do obawy o pokój; co więcej, że położenie obecne jest „względnie" zadawalające. Okazuje się więc, że prasa i opinia publiczna tym razem jak zwykle zbyt dużo włożyły głębszego znaczenia w słowa, które należało brać tak, jak brzmiały. Każde oświadczenie urzędowe traktują jakby wyrocznię delficką, a nieszczęśliwi jej autorowie nie wiedzą istotnie, skąd zaczerpnąć i dobrać niewinnych wyrazów.

Sprawozdanie hr. Kalnokego, nawskroś pokojowe, było uwieńczeniem dziesięcioletniej jego działalności na stanowisku ministra spraw zewnętrznych. Był to tedy rodzaj jubileuszu, obchodzonego w sposób cichy i skromny. Zachowanie się hr. Kalnokego odbija mocno od metody, używanej przez jego poprzedników, Kaunitza i Metternicha, a nawet hr. Andraszego: podczas gdy tamci politykę swą otaczali pewnym blaskiem, każdą przedsięwziętą czynność sami sławili w broszurach, wydawanych przez biuro prasowe, ten działa w ukryciu, a od urzędników swych żąda dyskrecyi, nie oklasków. Metoda ta odpowiadała zresztą zupełnie trudnemu zadaniu. Tej właśnie powściągliwości języka i ambicyi zawdzięcza Kalnoky w znacznej części, iż udało mu się przez lat dziesięć omijać szczęśliwie skały, grożące rozbiciem pokojowi europejskiemu. Kiedy obejmował ster spraw zewnętrznych, przymierze niemiecko-austryackie istniało dopiero od dwu lat i uważano je za układ niepewny. Hr. Kalnoky, który był poprzednio ambasadorem austryackim w Petersburgu, podjął się niesłychanie trudnego zadania: miał utrwalić przymierze niemiecko-austryackie, pozyskać Włochy, a zarazem utrzymać stosunki przyjazne z Rosyą. Celu tego dopiął. Już to samo dowodzi, że nie brak mu wyższych uzdolnień dyplomatycznych. W ciągu ostatniego dziesięciolecia przewroty na półwyspie bałkańskim niejednokrotnie zagrażały pokojowi: Kalnoky umiał je osłabić a przynajmniej umiejscowić. Po ustąpieniu Bismarka jest najstarszym przedstawicielem polityki trójprzymierza i cieszy się zaufaniem gabinetów europejskich co do szczerości pokojowych swych dążeń.

Nowy minister finansów, Steinbach, dotychczas narażony jest na rózgi wszystkich stronnictw. Podczas rozprawy budżetowej członkowie Koła galicyjskiego: Szczepanowski i Kozłowski, wystąpili z mowami, w których dali do zrozumienia, że czas wyczekiwań minął, że obecna polityka finansowa nikogo, a zwłaszcza przedstawicieli Galicyi zadowolić nie może i że minister musi się zdobyć na więcej stanowczości i odwagi, jeżeli stanowisko jego nie ma być zachwiane. Steinbach odpowiedział, według zwyczaju, ostrożnie i trwożliwie. Lecz widząc, że dawna prawica zwraca się przeciw niemu, użył najbliższej sposobności, aby okazać jej swą sympatyę tanim kosztem. Oto jeden z przewódzców lewicy, Plener, wystąpił z wnioskiem ulżenia ciężaru podatkowego najuboższym obywatelom, którzy płacą rocznie 5 złr.; żądał mianowicie, aby uwolnić ich od nadzwyczajnej dopłaty, która wynosi dziś w Austryi 70% podatku normalnego. Jest to wniosek sam w sobie sprawiedliwy i ludzki, odpowiadający słusznej zasadzie zmniejszenia ciężaru klasom uboższym kosztem zamożniejszych. Lecz interesy polityczne stanęły tu w sprzeczności ze sprawiedliwością ekonomiczną. Prawica nie chce dopuścić, aby reforma tak popularna związana była z nazwiskiem Plenera i uchodziła za zasługę lewicy, której powagę podkopano właśnie, zarzucając jej brudne sprawy finansowe i zaniedbywanie interesów ludu. W zwartych szeregach występują tedy członkowie dawnej większości przeciw wnioskowi Plenera. Minister Steinbach uważał za stosowne przyłączyć się do przeciwników, czem wprawdzie chwilowo rozdrażnienie Koła uśmierzył, lecz zarazem wywołał gromy stronnictwa niemiecko-liberalnego.

Se.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wielbiciele Bismarka w sejmie niemieckim nie mają odwagi, przeciwnicy zaś i wrogowie są śmieli, więc ci ostatni tylko odpowiedzieli Capriviemu na jego mowę. Podobała się ona im już przez to samo, że wysunęła delikatnie kilka szpilek przeciw pokutującemu w Friedrichsruh pogromcy. Zwłaszcza przywódca postępowców, Richter, ze szczerem zadowoleniem pozdrowił kanclerza za te jego szpilki.

Usposobienie się to zmieni, gdy wkrótce przyjdą pod obrady sejmu nowe wymagania rządu co do siły zbrojnej; że przyjdą, to nie ulega wątpliwości. Prasa i ministrowie zapowiadają je coraz wyraźniej, przygotowując umysły i... kieszenie do smutnej ofiary.

Czy Bismark przyjmie udział w rozprawach parlamentu — nie wiadomo. Raz bowiem zaręcza, że spełniać będzie swoje „powinności obywatelskie," to znowu z westchnieniem zapewnia, że „bardziej się zestarzał, niż wygląda." Jedna z gazet obrzydziła mu rolę poselską, uświadomiwszy, że nie wejdzie do sali jako wszechwładzca, nie otrzyma głosu, kiedy zażąda, nie wejdzie zaopatrzony nietykalnością, lecz musi się poddać regulaminowi ogólnemu i korzystać z tych samych praw, co jego „koledzy." Za piękne były dni Aranjuezu, ażeby odmienna od nich rzeczywistość nie drażniła upadłego bohatera. To też jeżeli nawet grozi, że przybędzie do sejmu, to tylko dla uderzenia na traktat handlowy z Austryą.

Pomimo zastosowania stenografii w spisaniu mów parlamentarnych, ministrowie zawsze mogą w nich dokonywać poprawki i usuwać słowa, które im nieopatrznie z ust się wymknęły. Co odpowiedział hr. Kalnoky w delegacyach, zagadnięty przez posła Zallingera o sprawę papieską, trudno dziś orzec. Pierwsze doniesienie było bardzo nieprzyjemne dla rządu włoskiego, bo twierdziło, jakoby według hr. Kalnokego

kwestya ta była dotąd niezałatwiona. Następne wiadomości brzmiały znowu inaczej i gorzej dla Watykanu, zyskały jednak mniejszą wiarę. Sroży się też wywołana przez szowinistów włoskich burza przeciw ministrowi austryackiemu, który miał nie uznać faktu zjednoczonej Italii. Co prawda, mógł być ostrożniejszy.

Dziwne i niespodziewane zakończenie mieć będzie proces, wytoczony Livraghiemu, agentowi rządu włoskiego, za okrucieństwa dokonane w Massawie. Wystąpili bowiem jako świadkowie jego zwierzchnicy, którzy otwarcie zeznali, że z ich rozkazu tracił ludzi. Prawdopodobnie więc ten długo ścigany i obarczony ciężkiemi winami jegomość będzie ze wszystkich krwawych plam obmyty.

Zdaje się, że w Chinach pękły ostatnie wędzidła, kiełznające sfanatyzowany i podburzony tłum przeciw europejczykom. Ostatnie wybuchy i rzezie okazują zupełną niemoc rządu i przewagę towarzystw tajnych, kierujących rozruchami. Lud chiński, jak jego rzeki, kiedy zburzy się i wystąpi ze swego łożyska, sieje na około straszne zniszczenie. Dopóki lew azyatycki drzemał, można go było lekceważyć, ale skoro raz powstał, ryknął i rzucił się na przeciwników, niełatwo go oni uśmierzą. Sprawa chińska jest obecnie jedną z najważniejszych dla dyplomacyi.

Wrzenie brazylijskie nie może się uspokoić pomimo złożenia godności prezydenta przez Fonsekę. Jego następcą obrano generała Floryana Peixoto, który wydał manifest, chwalący poprzednika za przecięcie wojny domowej i wzywający wszystkich do przywrócenia porządku. Niektóre jednak ze zbuntowanych prowincyj żądają od władzy naczelnej, ażeby zatwierdziła zmiany w nich dokonane podczas powstania. W każdym razie pożar dogasa.

Sejm galicyjski zwołany będzie dopiero w kwietniu.

BADANIA NAUKOWE.

ANTROPOLOGIA ZBRODNI.

I.

Wielokrotnie już mówiliśmy w łamach *Prawdy* o Cezarym Lombroso. Czyniliśmy to, ilekroć ukazała się jakaś nowa praca badacza włoskiego, co zdarzało się niemal z roku na rok. Antropolog ten należy dziś w Europie do wyjątkowych rodzicieli „idei" naukowych, jest oryginalnym. Owo jego idee może wielu ścisłym albo rutynicznym przedstawicielom nauki nie podobają się, lecz w całości swojej przewybornie pasują one do widnokręgów społecznych warstwy, posiadającej w Niemczech specyalną nazwę *inteligentes Spiessbürgerthum*. Nie chcę bynajmniej uwłaczać zasługom tego pisarza, które, bądź co bądź, są znaczne, ale winienem zrobić uwagę, że rozgłos, jaki on uzyskał, zawdzięcza poniekąd właśnie temu swemu stanowisku, a nadto uznaniu ze strony histeryzmu chwili obecnej. Niektóre jego książki i teorye rozchodzą się dzięki tym samym powodom, skutkiem których tak smakują obecnie we Francyi utwory Dostojewskiego; — uderza on i wstrząsa nerwami. Jest to w całem tego słowa znaczeniu uczony wieku nerwowego. Najwymowniej świadczy o tem fakt, że publicyści zajmują się więcej poglądami Lombrosa, aniżeli świat czysto naukowy. Jest to, jak rzekliśmy, rodzic idej. Z drugiej strony istnieje mnóstwo natur żądnych pracy „naukowej": zbierania materyału, zapisywania szczegółów. Czatują oni chciwie na każdą modną myśl, ażeby mieć przedmiot do poszukiwań. Antropologia człowieka normalnego mogłaby wiele opowiedzieć o tym najeździe zbieraczy na naukę, która stała się modną. Otóż i za Lombrosem pociągnęła taka rzesza i zrobiła swojemu mistrzowi sławę olbrzymią.

To są powody, dlaczego zaznaczaliśmy pilnie wszelkie nowe prace i poglądy włoskiego antropologa-kryminalisty. Zresztą w każdym wypadku kładliśmy wyraźny nacisk na to, że zajmujemy stanowisko przedmiotowe; niekiedy zaś podnosiliśmy klasowy charakter wywodów Lombrosa. Dzisiaj najważniejsza jego praca (*Zbrodniarz urodzony*) wychodzi w języku polskim i prawdopodobnie znajdzie się w niejednem ręku, tembardziej, iż nazwisko tłomacza ręczy, iż przekład nie będzie tandetą, jakiej dopuszczają się różni stali i przypadkowi przyswajacze dzieł zagranicznych. Wobec tego czytelnik może wymagać wyczerpującej oceny krytycznej i wskazania stron słabych dotychczasowej antropologii kryminalnej. Zresztą nie będzie nam szło wyłącznie o samego Lombrosa, a raczej o cały kierunek myśli, który wyraził się w antropologii zbrodnictwa.

Przedewszystkiem zatrzymamy uwagę czytelnika nad kilku pojęciami wstępnemi. Są ludzie, czujący jakąś cześć bałwochwalczą dla olbrzymich dzieł, najeżonych datami. Wartość książki mierzą oni jej obszernością i rozumie się z pogardą patrzą na rzeczy mniejszego kalibru. Tymczasem istotne znaczenie dzieła, nawet najbardziej ścisłego i naukowego, nie wiele zależy od rozmiarów, ani też od liczebności faktów. Niewiele zbadanych i dobranych troskliwie, posiada często większą wartość, niż cała powódź cyfr, nagromadzonych bezładnie i niekrytycznie. Jak zobaczymy, antropologia kryminalna aż nadto często się znajduje w tem ostatniem położeniu. Powtóre, zjawia się jeszcze inne pytanie: co do prawdziwości samego obrazu. Fakty mogą być zbadane umiejętnie, co więcej, żaden z nich nie będzie sfałszowany, tak iż niepodobna poddawać go w podejrzenie, a jednak całość wykładu będzie na wskroś błędną. Livingstone zaznacza z przekąsem dziwne zachowanie się turystów i etnografów europejskich względem buszmenów Afryki południowej. Każdy z nich, który zetknął się z tym szczepem, poszukuje „najczystszych" przedstawicieli tej grupy rasowej. W tym celu wzrok jego zatrzymuje się zawsze na jednostkach najbardziej wstrętnych pod względem fizycznym, na które sami buszmeni patrzą nieraz jako na okazy wyjątkowe. Portrety i fotografie tych wyjątków krążą w świecie naukowym Europy, jako wzory rasy buszmeńskiej! Otóż fakty same są tutaj prawdziwe, lecz oświetlenie fałszywe. To samo widzimy w antropologii kryminalnej. Czytelnik może ujrzeć w dziele Lombrosa postacie przerażające ohydą fizyczną swej twarzy, a nawet, jeśli zwiedzał odpowiednie sale na wystawie paryskiej, modele naturalnej wielkości. Gdyby cały świat zbrodni składał się z tego rodzaju osób, kwestya istnienia szczególnego typu przestępczego byłaby zupełnie rozstrzygnięta. Ale owo uzmysławianie wywodów przez antropologię kryminalną za pomocą podobnych wzorów jest znowu swojego rodzaju stwarzaniem „czystych" buszmenów. Do wyrazu „zbrodniarz" dorzuca się milcząco portret, wyglądający okropnie; tymczasem zamilcza się do pewnego stopnia o stosunku procentowym takich postaci śród świata zbrodniczego. Ilość owych napiętnowanych „znamieniem kainowem" jednostek nie przekracza może 3—5%. Sam Lombroso ogranicza przeciętnie do 23% liczbę osobników, przedstawiających już obfitsze połączenie cech i rysów „zbrodniczych," ale te osobniki nie są jeszcze potworami, zajmującemi miejsce na tablicach książki. Znaczenie tych uwag zrozumiemy, przeszedłszy do poszukiwań nad anatomicznym wyglądem zbrodniarza. Tutaj jeszcze dodamy, że w pogoni swej za pomiarami szkoła antropologii kryminalnej jest bardzo mało wybredna. Mierzy ona i bada wszystko, co tylko istnieje w organizmie. Ponieważ żadna myśl ogólniejsza nie przyświeca pytaniom, w jakim związku ze zboczeniami charakteru znajdują się różne znamiona anatomiczne ustroju, przeto każdy z antropologów-kryminalistów czuje się w obowiązku mierzenia każdej kosteczki i każdej właściwości. Jest to pole odznaczania się dla miernot. Cóż bowiem łatwiejszego, niż zdobyć sobie stopień naukowy, ów środek do karyery, wymierzywszy 100 nosów u ludzi „uczciwych" i u zbrodniarzy? Przytem widocznie ten i ów bierze się do antropologii kryminalnej bez uprzednich studyów ogólno-antropologicznych. To też do śmietniska znamion zbrodniczych umysł taki rzuca wszystko, co antropologia wydzieliła już jako kategoryę rasową. A tymczasem, przypuszczając rzeczywistość założenia, że zbrodniarz jest szczególnym anatomicznym gatunkiem człowieka, trzeba by nie zapominać jeszcze o czemś innem, mianowicie, że ów nowy gatunek nie jest odmianą człowieka jakiegoś abstrakcyjnego, ale zmysłowego, rozpadającego się na mnóstwo ras odrębnych, np. we Włoszech długogłowych blondynów, śródziemnomorskich brunetów, krótkogłowych piemontczyków. Czyżby „właściwości zbrodnicze" były jednakie w każdym z tych typów? A jeżeli nie, to cóż mają wspólnego ze zbrodniczością wzięte w oderwaniu od rasy kształty nosa, czaszki, barwy włosów itd.? Zarzut takiego pomieszania rzeczy różnych uczyniono nawet samemu Lombrosie. A jednak do dziś kwestya uwzględniania przez antropologię kryminalną gruntu rasowego bynajmniej nie została załatwiona.

W tem miejscu winniśmy słów kilka powiedzieć o samym ojcu szkoły kryminalno-antropologicznej. Na międzynarodowym zjeździe paryskim odezwały się ostre zarzuty przeciwko Lombrosie. Że on postępuje nadzwyczaj nieoględnie i niesumiennie z faktami, każdy, kto zechce zadać sobie nieco pracy, znajdzie mnóstwo na to dowodów. Bogactwo pomysłów idzie u niego ręka w rękę z nieudolnością ścisłego przytaczania faktów i rozgraniczania odmiennych pojęć. Ktokolwiek czytał całego *Zbrodniarza urodzonego*, zbliżając się ku końcowi musiał czuć niewymowny bezład w umyśle. Wszystkie kategorye i rozgraniczenia pomieszały się. Krytycy Lombrosa mogą obficie czerpać zarzuty przeciwko niemu z tego arsenału nieścisłości. Świeżo Colajanni w dość cennem dziele *Socyologia kryminalna* poddał surowemu rozbiorowi tę wadę antropologa włoskiego. Mantegazza zaś, uczony, z którego znaczeniem w odwrotnym pozostają stosunku tłomaczone na nasz język różne hygieny i fizyologie, kilku słowami kreśli przewybornie charakterystykę Lombrosa. „Posiada on potężny talent apostolski, lecz zbywa mu na wszelkiej zdolności spostrzegawczej. Nie umie umiarkować ani skali, ani też utrzymać równowagi, tych warunków niezbędnych do wszelkiego ścisłego badania."

Są to wszystko wady i słabe strony, że tak powiem, natury przypadkowej. Jedne płyną z temperamentu, inne z niedostatecznego przygotowania, niektóre z przesady. Atoli antropologia kryminalna popełnia jeszcze inne fałsze już nie mimowolne, lecz stałe i ciągłe. Pomijamy uprzedzenie, do którego skłonni są ludzie nauki mieszczańskiej, mianowicie, iż kultura jest kwintesencyą wszelkiego piękna, tak, że człowiek cywilizowany jest nietylko moralniejszy i szlachetniejszy, lecz nawet silniejszy fizycznie. Dla Lombrosa i wielu innych kryminologów zbrodniarz jest poniekąd człowiekiem dzikim, który zabłąkał się do społeczeństw oświeconych, a ponieważ usiłuje on dowieść, że przestępca jest swego rodzaju okazem epileptokształtnym, daje przeto do zrozumienia, że dalecki nasz przo-

dek odznaczał się takiem samem usposobieniem chorobliwem. Zajmiemy się czemś donioślejszem. Nie ulega wątpliwości, że pojmowanie rzeczy, właściwe człowiekowi zamożnemu, musi wyglądać inaczej, niż paryasa, pozbawionego dachu nad głową. Niepodobna, żeby to nie wywarło swojego skutku na poszukiwania w zakresie studyów nad zbrodniarzem. Dla uczonego, opływającego w dostatkach, którego myśl wciąż buja po przestworach ideologicznych, bluźnierstwem będzie wyryte na piersi jednego zbrodniarza hasło: Niech żyje Francya i gorące kartofle! To też antropologia kryminalna odpowiednio ocenia ten fakt i patrzy nań jako na dowód zatonięcia uczuć wyższych w żądzy czysto zwierzęcej. Zostawmy jednak szczęśliwych olimpijczyków nauki w spokoju i weźmy te męty ludności, które, zwyrodniałe już dzięki brakowi powietrza i słońca oraz dostatecznego pokarmu, wzrastają nadto wśród atmosfery występku. Człowiek w tych warunkach prowadzi życie hinduskiego paryasa, nikt doń nie podejdzie z pochodnią wiedzy i uczuć społecznych. Niekiedy sama nędza jest tak przerażająca, że cała myśl ludzka zwrócona została w kierunku gorących kartofli. I jeśli w mózgu takiego paryasa znajdzie się obok kartofli jeszcze miejsce dla myśli podnioślejszej, czyż mamy w tem upatrywać dowód zwyrodnienia moralnego? Czyż nie jest to raczej świadectwem, iż nawet w błocie społecznem tlą się jeszcze iskry czegoś szlachetniejszego? Przykład powyższy wprowadza nas do najważniejszej wady antropologii kryminalnej, do wady, nadającej jej charakter nauki klasowej. Antropolog kryminalny, mając przed sobą przestępcę, bada go w oderwaniu od tego środowiska społecznego, w którem ten okaz chorej ludzkości zrodził się, wychował i żył. Lecz każde otoczenie pozostawia swoje ślady na istocie ludzkiej. Otóż uczeni zapisują te cechy, nabyte w życiu indywidualnem, na karb wrodzonej zbrodniczości, co im tem łatwiej przychodzi, że zbrodniarz, bądź co bądź, jest przedewszystkiem dzieckiem nędzy, a bywa zestawiany z ludźmi „uczciwymi,“ wybranymi przeważnie z marynarki i wojska, tj. z kwiatu zdrowia społecznego. Dostrzeżone różnice idą na rachunek zbrodniczości! Colajanni w swej krytyce poddał właśnie rozbiorowi wyniki takiego postępowania kryminologów. Z całą mocą podnosi on to, że ażeby sądzić o zbrodniczości pewnej cechy, należałoby przestępców porównywać z grupami, znajdującemi się w najgorszem położeniu. Antropologia kryminalna np. twierdzi, że szwy czaszki zrastają się wcześniej u przedstawicieli świata zbrodniczego. Krytyk włoski rzuca pytanie, czy to samo nie da się spostrzedz przeciętnie u wszystkich osób, które są odsunięte od ćwiczenia umysłowego? Zbrodniarz ma odznaczać się tem, że zmarszczki występują u niego bardzo wcześnie na twarzy. Ale znowu objawia się to u wszystkich uliczników paryskich nie jako wynik natury zbrodniczej, ale jako następstwo tych warunków, w jakich ci chłopcy żyją. Zbrodniarz ma być obarczony mnóstwem chorób, zwłaszcza systemu krwionośnego; skłonnością do epilepsyi i alkoholizmowi, zwyrodnieniami w zakresie zmysłów. I tu także zapytać trzeba, czy tych objawów nie spostrzeżemy w całej masie ludności domów roboczych Anglii. Jeszcze silniej występują takie wątpliwości, kiedy zwrócimy się do dziedziny moralno-duchowej. Często słyszymy o cynizmie przestępców. Przypomnijmy sobie jednak owe izby wyrobnicze, gdzie śpi kilka małżeństw, a jednocześnie znajdują nocleg dorastające dziewczęta i chłopcy. Nie ma tu żadnych kotar. Rozumie się, takie stosunki nie sprzyjają bynajmniej wyrobieniu owej „delikatności“ w traktowaniu odpowiednich rzeczy, do której przywykli antropologowie i która zresztą polega na tem, aby w obecności kobiet jedynie wykwintnemi półsłówkami mówić o pewnych przedmiotach. Otóż cynizm ten znowu przypisano całkiem naturze zbrodniczej. W ten sposób uczony, wychowany w szczególnem otoczeniu, bierze środowisko, wżerające się w organizm człowieka, jako część tego organizmu, jako kategoryę antropologiczną. I dalej zaczyna wyprawiać różne harce! Słowem, zanim zbadamy zbrodniarza antropologicznie, winniśmy wydzielić z jego natury wszystkie takie wstręty natury społecznej. Jest to rzecz pierwszorzędnej wagi. Powtóre, musimy nie zapominać jeszcze o tem, iż męty społeczne wydzieliwszy się ze szczególnie upośledzonych odłamów ludności posiadają jeszcze sobie właściwą atmosferę, pełną orgii płciowej, pijaństwa, życia nienormalnego. *Lumpenproletariat* jest dzisiaj warstwą stałą, utrzymującą się dzięki płodności swoich kobiet, oraz przypływowi różnych rozbitków. Naturalnie, znowu wpływy tego otoczenia muszą odbić się w duszy zbrodniarza. Pierwszym więc warunkiem dalszego postępu antropologii kryminalnej jest zerwanie z dotychczasową metodą: badaniem człowieka w oderwaniu od środowiska i nieuwzględnianiem cech nabytych w życiu osobniczem.

Lud. Krz.

ODZIEDZICZANIE KALECTW NABYTYCH.

Jak wiadomo, Lamark widział główny czynnik przemiany gatunków w używaniu lub nieużywaniu organów. Zmiany w budowie ustroju następują głównie dlatego, iż on podlegać zaczyna nowym stosunkom życiowym, nabywa wskutek tego nowych obyczajów, te ostatnie zaś ze swej strony warunkują podwyższoną lub obniżoną działalność pewnych organów, a tem samem i silniejszy lub słabszy ich rozwój, przekazywany potomstwu. Jeśli ono w tych samych żyje warunkach używa również organów odpowiednich w znacznym stopniu, narządy te jeszcze silniej się rozwijają itd. z pokolenia na pokolenie. W ten sposób Lamark mógł przedewszystkiem objaśnić przemiany, polegające na rozroście lub zaniku pewnych organów, wskutek używania lub nieużywania ich w ciągu wielu pokoleń; tą drogą badacz francuski starał się wytłomaczyć np. powstanie pletw pławnych na nogach ptaków pływających, które jaknajbardziej starały się rozpościerać palce nóg swych w celu utrzymania się na wodzie, dalej rozwój długiej szyi u żyrafy, której przodkowie starali się zawsze jaknajbardziej wyciągać szyję w celu spożywania liści na drzewach itp. itp. Teorya Lamarka wymagała więc koniecznie przyjęcia, iż cechy, *nabywane* w ciągu życia przez zwierzę, przekazują się potomstwu czyli są *dziedziczne*.

Karol Darwin, szczęśliwy i genialny następca Lamarka, starał się objaśnić, jak wiadomo, zmienność gatunków przez zasadę doboru naturalnego; w dziełach swoich przypisuje on jednak niemałe znaczenie Lamark'owskiej idei używania i nieużywania, jako *bezpośredniemu* czynnikowi przeobrażeń. Biolog angielski przypuszczał również, że cechy nabywane mogą być dziedziczne; w swojej „Zmienności zwierząt i roślin“ wyraża się on np. tak: „Wogóle możemy przypuścić, iż rany lub okaleczenia, zwłaszcza jeśli następuje po nich choroba, a może wyłącznie wtedy, gdy wywołują chorobę, bywają niekiedy dziedziczne.“

W ostatnich atoli czasach wielce zasłużony zoolog niemiecki, prof. August Weismann w całym szeregu prac starał się wykazać, iż nauka nie posiada *ani jednego* dowodu, aby jakabądź cecha, nabyta przez zwierzę w ciągu jego życia, przenosiła się na potomstwo. Badacz ten okazał, że można doskonale zrozumieć działanie doboru naturalnego, nie przyjmując dziedziczenia cech nabywanych, w co jednak nie możemy wchodzić na tem miejscu *), Doszedł on do wniosku, że dziedziczne są tylko te wszystkie morfologiczne właściwości i cechy ustroju, których zawiązki przynosi on już z sobą na świat, innemi słowy, które sam odziedziczył po przodkach swoich; natomiast cechy, nabyte w ciągu życia osobnika, nie są dziedziczne, o ile wskazują dotychczas w tym względzie zdobyte fakty oraz rozumowania teoretyczne. Podniosły się przeciwko Weismanowi liczne głosy; zdawało się bowiem, że odziedziczanie cech nabywanych jest faktem bardzo powszechnym, a odrzucanie go — zamachem na darwinizm. Weismann atoli jest sam najgorętszym wyznawcą idei doboru naturalnego, wykazał też z wielką jasnością, że poglądy jego w niczem nie utrudniają teoryi badacza angielskiego, lecz natomiast stanowią dla niej nowe, ważne poparcie (wykazał to głównie w dziełku swojem o znaczeniu płciowego rozmnażania dla teoryi doboru naturalnego).

Dowieść, że *żadna* cecha nabywana nie może być dziedziczna — niepodobna, można tylko wykazać, że dotąd nie posiadamy ani jednego wiarogodnego faktu, który dowodziłby zdolności dziedziczenia cech takich. Ale i tutaj natrafiamy nieraz na wielkie trudności, albowiem wogóle orzeczenie, czy dana właściwość jest nabyta, czy odziedziczona, przedstawia niejednokrotnie niemałą trudność. Oto przykład. Osobnik A przejmuje po rodzicach swoich skłonność do chorób ocznych; do pewnego wieku jest zupełnie zdrów; nagle przez przypadek nadwyręża sobie oczy i zaczyna chorować; dziecko osobnika A, wydane na świat po zachorowaniu tegoż na oczy, odziedzicza po ojcu słaby wzrok i usposobienie do pewnych cierpień ocznych. Nieścisły badacz mógłby rozumować tak: osobnik A miał zawsze zdrowe oczy, nagle przez przypadkowe nadwyrężenie ich zasłabł i cechę słabości wzroku przelał na potomka — jest tu więc pozornie odziedziczenie cechy *nabytej*. Gruntowniejsze atoli badanie okazuje, że osobnik A od urodzenia już miał dziedziczne usposobienie do cierpień wzroku, i że dlatego to prawdopodobnie zapadł na oczy wskutek przypadkowego nadwyrężenia ich, a dalej, że potomek jego odziedziczył po nim wrodzone usposobienie do chorób ocznych zupełnie niezależne od owego przypadkowego (pozornie nabytego) uszkodzenia wzroku u osobnika A. Wogóle nie możemy nigdy prawie twierdzić, że jakakolwiek choroba jest nabyta; nie podobna bowiem dowieść, iż zawiązki jej chociaż przez długi czas ukryte nie tkwiły już od zarania w danym osobniku.

Jedynie pewne rezultaty naukowe mogą dać *doświadczenia*, polegające na wywoływaniu *sztucznych kalectw* i powodowywanych przez nie cierpień u osobników normalnych i zdrowych, oraz na kontrolowaniu o ile takie właściwości nowonabyte przekazują się potomstwu; chociaż naturalne i tutaj niemało jest pole do pomyłek. W ostatnich kilku latach przeciwnicy idei Weismanna ogłosili szereg faktów, co do sztucznych, umyślnych lub przypadkowych kalectw, które jakoby okazać się miały dziedzicznemi. Otóż Weismann w ostatniej swej wielce interesującej pracy p. t. *Ueber die Hypothese einer Vererbung von Verletzungen* w bardzo przekonywający sposób wykazuje bądź błędność obserwacyj przeciwników swoich, bądź niedostateczność ich dowodów, albo nawet nielogiczność wniosków.

---

*) Czytelnika, interesującego się tą wielce ciekawą kwestyą, odsyłamy do dawniejszych prac Weismanna (*Die Kontinuität des Keimplasmas*, 1885, *Die Bedeutung der sexuellen Fortpflanzung für die Selektionstheorie*, 1886 i innych). W literaturze naszej dosyć obszerne streszczenia poglądów Weismanna podane były przed kilku laty we *Wszechświecie* i *Ateneum*.

Przytacza on różne wypadki, wymieniane w dawniejszej oraz w nowszej literaturze, dotyczące np. kotów, które przypadkowo utraciły ogon i wydały jakoby potomstwo bezogonowe, psów, które po utracie ogona rodziły jakoby młode bezogonowe, ludzi, którzy po utracie przypadkowej pewnych palców, płodzili jakoby potomstwo z nienormalnie rozwiniętymi palcami i t. p. Uczony niemiecki wykazuje, że wszystkie te dane oparte są albo na niedostatecznie rzetelnych obserwacyach, albo też są nieścisłe przy bliższej analizie. Oto jeden przykład. Znany antropolog niemiecki dr. Emil Schmidt, badacz bardzo wiarogodny, przytoczył na zjeździe antropologów fakt, pozornie przemawiający przeciw Weismanowi. W pewnej poważnej rodzinie matka posiada z jednej strony płatek ucha rozdwojony. Kobieta ta, osoba prawdomówna, przypomina sobie, że gdy miała lat 6—10, inne jakieś dziecko wyrwało jej w zabawie kolczyk z ucha i że rana po zagojeniu pozostawiła szczelinę. Z siedmiorga jej dzieci, drugie z kolei — obecnie dorosły mężczyzna — posiadało jakoby „w tem samem miejscu co i matka rozszczepiony płatek ucha.“ Pozornie więc zdaje się, iż nastąpiło tu odziedziczenie cechy nabytej. Weismann atoli przedstawia w pracy swojej rysunki (udzielone mu przez d-ra Schmidta) ucha matki i syna i dowodzi w sposób bardzo naoczny, że cała muszla uszna syna odstępuje bardzo w budowie swojej od muszli usznej matki i że wadliwość ucha syna nie daje się wcale porównać, a tem samem utożsamić z nabytem zboczeniem w uchu matki. Podobnych przykładów znajdujemy więcej. Przypomina on zresztą, kilkakrotnie już przez niego przytaczane wypadki *nieodziedziczania* się takich cech nabywanych jak rytualne obrzezanie, wybijanie pewnych zębów lub przekłuwanie pewnych części ciała, które to zwyczaje oddawna praktykują się u różnych ludów. Weismann obcinał ogony u wielu bardzo pokoleń myszy, a pomimo to rodziło się wciąż potomstwo opatrzone ogonami.

W ostatnich czasach zabierali także głos w zajmującej nas kwestyi liczni inni badacze: dr. Richter, prof. Forel, prof. Rosenthal itd. Ostateczny wniosek jest następujący: Nauka nie zna dotąd ani jednego wiarogodnego i ściśle zaobserwowanego wypadku odziedziczenia cechy, nabytej w ciągu życia indywidualnego, a dotyczy to przedewszystkiem kalectw najdostępniejszych dla ścisłej obserwacyi.

Dr. H. T. Rozicki.

ETNOGRAFIA.

Hochzeitsbräuche der Kielonischen Litauer (Odbitka z *Mittheil d. Litanisch. literarisch. Geselsch*, tom III, zesz. 14).

Mozolna wielce działalność naukowa na polu etnografii i lingwistyki Antoniego Juszkiewicza, który będąc duchownym, bliższe miał z ludem litewskim stosunki, zasługuje na szczególne ze strony naszej uznanie. Zgasły w r. 1880 uczony, w bogatych zbiorach pieśni i zwyczajów obrzędowych, pozostawił spuściznę, która dla potomnych będzie skarbnicą przyczynków do obyczajowości i lingwistyki litewskiej. Nie będziemy tutaj wymieniali plonów zebranych przez Juszkiewicza. Zajmiemy się głównie zbiorkiem p. t. Svotbine reda Velunyciu Lietyvio etc. (Kazań 1880 r.). Są to zwyczaje obrzędowe przy weselu z okolic Wielony (Veluna) nad prawym brzegiem Niemna, w gubernii kowieńskiej. Parafia właśnie wielońska, której pasterzem aż do r. 1871 był Antoni Juszkiewicz, obejmuje od 20 do 30 bądź większych, bądź mniejszych wiosek. Pr. J. Baudouin de Courtenay osobiście zwiedził w r. 1885 Wielonę i jej okolice. Chwali on wielce gościnność, szlachetność i wrodzoną tamtejszych litwinów inteligencyę. W poszukiwaniach swoich zebrał objaśnienia niektórych wyrażeń stanowiących terminologię weselną w zbiorze „Svotbine“ etc. Powróciwszy do Dorpatu, postanowił materyał zgromadzony przez Juszkiewicza, przełożyć na język niemiecki, lecz dla nawału zajęć, zamiaru swojego nie zdołał dokonać. Dopiero p. Arved Petry wyręczył go w tej pracy i wkrótce pod jego kierunkiem, przywiódł w r. 1888 tłumaczenie do skutku.

Zawikłany dosyć obrządek wesela litewskiego składa się z 57 części. Ukrywanie się dziewczyny przed swatami, spólne wszystkim ludom indoeuropejskim, jest zabytkiem czasów barbarzyńskich, przypominających zawieranie związków małżeńskich zapomocą porywania. Inne znowu obrządki nasuwają nam kupno, gdy niewiasta uważaną była za niewolnicę, dlatego też szanowny małżonek siły swojej pięści na ramionach połowicy próbował, jak o tem wspomina jedna z pieśni weselnych (str. 156). Trudno nam streścić tak obfity materyał, który głównie specyalistę zajmować może. W każdym razie zasługi Juszkiewicza wydadzą z czasem plon żyzny i nie przepadną dla nauki. Spodziewać się należy, że przyszli badacze litewszczyzny zechcą korzystać z tak ważnych przyczynków etnograficznych, porzuciwszy jałową nader etymologię.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Stanisław Rossowski: *Ze ścieżek życia*. Wrażenia i obserwacye. Lwów, nakładem Seyfartha i Czajkowskiego, 1892, str. 232, z okładką i winietami pomysłu Wł. Rossowskiego, brata autora.

Nowelomania, grasująca wśród dziatwy Apolina, przybiera charakter epidemii i grozi zadławieniem naszej literatury pięknej. Dziennikarstwo, które sobie wykarmiło tych lekkoduchów, podcina im żyły w kąpieli nadwytwórczości. Z piętnem tych niewolniczych warunków na czole urodził się i nasz młody nowelista, występujący w szranki z tym oto pierwszym bukietem bławatków, uzbieranych na łanach mizeryi galicyjskiej. Fotografie to minutowe, oprawne, a nieraz wtłoczone w ramy miniatur, objawiają w poecie naturę krótkowidza, który nie może objąć szerokich pomysłów, ale który umie szczęśliwie uchwycić najlotniejsze drobiny, potrafi zręcznie podpatrzyć najdelikatniejsze komórki w organizmie szarego, codziennego życia. Ptak małego lotu, ale otwartego, choć miękiego serca, omija szczęśliwie strefy burz i grzmotów, i szuka cienia pod strzechą życia rodzinnego, gdzie lepi sobie gniazdko z pociech małżeńskich, albo wije wianek z zielonej ruty, droższy mu nad laury Kapitolu. Przekonaniem jego: szczęście ludzkie nie kryje się w fałdach wielkich namiętności, ani nie przebywa na szczytach pragnień nadzwyczajnych, ale rośnie tuż przy ziemi, a składa się właśnie z tych drobnych klejnocików, które trzeba tylko umieć zbierać na podeptanych życia ścieżkach. Nas już chyba sielanka ta nie zwabi, ale mamy wiele jeszcze osobników tak przystosowanych do niej, iż uszkodzenie jednego węgła tej lepianki zagraża ich bytowi w całości. Nie burzmy im tego szczęścia, ani zazdrośćmy... Lecz nie narzucając czytelnikowi upodobań swoich, wolimy mu pokazać obrazki autora; niech same za siebie mówią. Zacznijmy zaś przegląd od tej kategoryi, któryrym na chrzcie bierzmowania dostało się miano „Błogosławionych cichych...“

Pierwsza para żyje w odsuniętym od świata zakątku, gdzie schyliwszy się tylko, może zbierać na drodze kupony szczęścia. Ideały niewieście w rodzaju pani Maryi żyją jak borówki w lesie. Posiadają wielki kapitał zdrowia, złożony w każdem włóknie czerstwej muskulatury i przewyższają o całą głowę blade, wielkomiejskie damy, oddające krew wszystką na potrzeby nerwów. Wrażeń odbieranych z natury nie probują one nawet analizować w swem zresztą wcale niekunsztownem laboratoryum mózgu; wiele jednak refleksyi budzą w nich ogórki i kapusta, gdy zakwaszać je mają na potrzeby domowe. Natomiast ich szczęśliwi mężulkowie mają coś niewieściego w sobie. Oto jeden: choć mu opadają skrzydła w pracy rzemieślniczej, skoro jakiś dobry duch woła go tam, gdzieby śmiałym lotem wzbijać się mógł nad poziomy, tj. osiąść na korzystnej posadzie, wówczas w sercu jego toczy długą walkę z jednej strony nadzieja świetnego losu, z drugiej kocie przywiązanie do miejsca. Żal im obojgu tego „pomieszkanka,“ oblanego promieniami słońca, co czarującą oponą osłaniało ich ubóstwo, żal długiego szeregu dni szarych, na których tle niby na kanwie miłość przetykała złotą nić upojeń. Do każdej szpary w podłodze, do każdego rysu na ścianie wcisnęła się ich dola i sprzęgła się z tym kącikiem na zawsze. Że ich czeka później życie pełne trosk i udręczeń, to starannie osłania przed nami autor, aby nie padł na duszę czytelnika najdrobniejszy pył zwątpienia i nie wydał owocu. Widnokrąg marzeń i pożądań jego bohaterów jest z natury rzeczy ograniczony, ale ten kawałek błękitu, jaki widać z okien ich pokoików, jest zawsze jasny. Jeżeli się zaś na chwilę zasępi, to przelotna chmurka przybiera kształty podarunku dla kochanej i kochającej żony! Oto młoda para marzy oddawna o nabyciu fikusa — o czem ci szczęśliwcy marzą! Mąż pod pozorem zaspokojenia jakichś udanych potrzeb robi w budżecie domowym szczerbę 3-złotówkową, o co się gniewa młoda pani, dzierżąca tekę finansów. Trzy złote stanęły jak nieme widmo między nimi, zanim dzień imienin wyjaśnił pozycyę w księdze wydatków, pocżem horyzontu ich szczęścia nie zachmurzyła już żadna przykrość. Zwykła lampa z białą umbrelką, osłaniająca głowę czcigodnej staruszki, wyrasta w tej atmosferze na bóstwo domowe. Jej miłe światło staje się świętem ogniskiem. Duch opiekuńczy rodziny dzierga z jej promieni niewidzialne sieci i oplata niemi serca domostwa. Zakrywa ona nędzę tego świata opalowym płaszczem, a nie pozwalając przedrzeć się demonom namiętności, sieje ciszę zadowolenia. Pierwsza ona zapłonęła na gospodarstwie młodych państwa, a wspomnienie tej chwili szczęścia spada na nią jak pyłek delikatny i oksyduje jej cynkowe, wytarte nóżki. Przy jej świetle wyrasta para kochanków na małżonków, ona naucz ich szukać pereł także w strudze poziomych, codziennych zdarzeń. Penaty tego rodzaju opiekują się rodziną poety pod różnemi nazwami.

Przypatrzmy się takiemu bożkowi w roli „starszej pani.“ W nocy nie dośpi, w dzień nie doje, bez szemrania znosi drobne przykrości i wielkie cierpienia. Zrezygnowała już z uciech świata, zamknęła się w cichem kole rodzinnem dobrowolnie, jak ślimak w swej skorupie, ale drobne ogniwa jej zabiegów tworzą olbrzymi, ciągle rosnący łańcuch pracy i poświęcenia... Czy może być coś powszedniejszego, niż owe manekiny emerytów, które wyrzuca na brzeg galicyjski pochłaniająca nas fala biurokracyi? Wszakże pod pędzlem nowelisty stają się i oni ludźmi — przynajmniej nie rażą tak bardzo czcześcią swego życia, którego dzień każdy podobny do drugiego jak dwie krople wody, a którego treścią jest przechadz-

ka, sen lub trawienie. Przez lat dziesiątki widujesz staruszków o jednej i tej samej porze, w jednem i tem samem miejscu. Baucis wyprzedza zawsze o krok męża, Filemon zdąża za nią jak żelazo za magnesem, trzymając się niby dziecko spódnicy matczynej. Postacie te w żywszem nieco świetle humoru, albo pod mikroskopem analityka urosłyby; na „ścieżkach życia“ umierać muszą na uwiąd z nudów. W tej sielankowej sferze panuje jako nieograniczony władca król Bobo I. Jego spojrzenie wystarcza poddanym za rozkaz, jego wola staje się natychmiast ciałem. Uśmiech jego pada promieniami słońca na całą krainę, a jego gniew lub smutek pogrąża ją w ciemnościach. Pod puchy, które mu miłość ściele, nie wciska się żmija protestu, ani widmo zamachów nie trwoży snów spokojnych. Bo — na cóż dłużej taić — państwo króla Bobo I mieści się w czterech ścianach pokoju; tronem jego — kolebka, pierś matczyna — państwem. Rodzice jego są ministrami, cały sztab ciotek, kuzynów, babek itp. to jego wasale, wszyscy na wyścigi niosący mu hołdy uwielbienia. Porusza on dowolnie jak sprężyna maszynki ludźmi, których nie zdołały ugiąć nawet huragany przejść życiowych. Ale wszystko ma swój koniec. Przyjdzie dzień, kiedy Bobo I-szy z przerażeniem zobaczy, że gmach jego władzy wszechmocnej runął w gruzy, a on pozbawiony zostanie berła i majestatu. Czy sądzicie, że choćby jedno ziarnko goryczy padnie na ten przybytek szczęścia?

Na miejsce króla Boba I ogłoszony zostanie następca tronu król Bobo II.

W obrazku zatytułowanym „Dwa A“ widzimy przez dziurkę od klucza dwie pary małżonków, przegrodzonych refleksyą autora, który swej paraboli zawiązał na szyi kawał moralnego sensu w tej lodowatej formie: Głoska A to symbol małżeństwa. Mamy w niej dwa pnie, niby dwie osoby złączone jedną poręczą. Na tej poręczy siada albo czarne widmo niedoli, albo promienne bóstwo szczęścia. Zależy to od małżonków samych! W pierwszej parze („po prawej stronie“) czujesz pod skorupą chłodnej uprzejmości zimno lodowców, jakie wzniosła między małżonkami obojętność, za tą ołowianą oponą niknie słońce miłości i coraz mniej przesyła nam promieni; w drugim pokoiku („po lewej stronie“) czujesz przez skórę płomień tego żaru, który przetapia rudę drobnych przykrości na drogocenny metal szczęścia.

Powiadają, że rodzice wychowują dzieci. Nieprawda. To dzieci raczej są wychowawcami rodziców. Jak w otwartej księdze odczytujemy w postępkach malca długi regestr nie jego, ale naszych grzechów; nieraz dziecko sporządza za nas rachunek sumienia. Gdyby myśl tę, niestety bardzo prawdziwą, ilustrowali rodzice, uczący się na głowach swych dzieci wychowania, to nie możnaby nic rzec przeciw temu; ale że o niej zapominają pedagogowie sami, popełniający takie błędy, jak np. straszenie dzieci kominiarzem, z tem się chyba pogodzić nie da rzeczywistość. Stąpając „po kwiatach i cierniach“ (taki jest tytuł drugiego cyklu nowel) zatrzymujesz się w izbie ciasnej jak serce okrutnika, a ciemnej jak umysł zacofańca. Siedzą tu od wczesnego ranka z małą przerwą do późnego wieczora biali murzyni, kolumny cyfr wyrastają pod ich piórami w plutony wojska regularnego. W te cyfry wkładają oni całą energię swych mięśni i kwintesencyę swego ciasnego mózgu, wysnuwając z prawidłowością automaty ciągle nowe zastosowania Pitagorasowej tabliczki. Grobowa cisza zalega izbę. Słychać tylko jednostajne skrzypienie piór. Na głosy rodziny, wierzycieli oni głusi i ślepi; ale skoro pies szefa świadom swej godności stanie we drzwiach, wszyscy zrywają się na równe nogi, jakby prąd batoryi elektrycznej wyrzucił ich ze stołków. Taka w tych maszynach do rachowania siła służbistości! Na tem brudnem, szarem tle życia galicyjskiego ciśnie się pod lupę typ, już nie osobnik, żętycznika. Jest to gatunek letników, nawiedzający w czasie wiosny i lata podgórza Beskidów. Uważają go tam za barana o złotem runie, które niemiłosiernie, jak mogą, skubią. Z początku żętycznik probuje walczyć z urojeniem ludu, łaje natrętów, zmienia jadłodawców w końcu jednak ulega „sile wyższej“ i z rezygnacyą składa oręż. Z powodu przepaści, którą otworzyło między nim a naturą zaskorupienie się w deptaku zawodowym, w murach życia miejskiego nie odbiera on właściwie żadnych wrażeń bezpośrednio. Przechodząc przez warsztat jego mózgu dostają się one do świadomości w oświetleniu, jakie na nie tam ciska lampa nawyknień.

Pasma zalesionych wzgórz przedstawiają mu się jak damy w krynolinach“ z pośród których wysuwa się szczyt Chomiaku nakształt „głowy cukru“ itp.

Po wiośnie bez kwiatów, po lecie bez słońca nadeszła chłodna, jałowa jesień. Zdradza ją szum smętny, przeciągły, późniéj gwałtowny jak rozhukane fale oceanu, w końcu mdlejący w jękach. W tej atmosferze warzącej szronem drzewa i kwiaty budzi się w poecie ciche świadome uczucie miłości, aby nad zmierzchem zaświecić łuną zachodzącego słońca i zgasnąć na zawsze. Wobec tego obrazka, oblanego czarem anielskiego smutku, bledniją majaczenia chorego, któremu u wrót śmierci wydaje się, że rozdzielił się na dwoje: (duch jego jak balonik furknąć chciał w górę, ale ciało trzymało go niewidzialną nitką). Widocznie niczego się nie nauczył na kursach filozofii lwowskiej, skoro tak logicznie przedstawił sobie swój stan. Oto drugi maniak, wykarmiony na bukowińskiej mamałydze i podolskiem mleku, obraca się w kole strasznych widziadeł: całe chmury bacylów w różnych kształtach, to cieniutkich, to znów zbitych w jednolitą masę, otaczają go na każdym kroku. Usta otwiera ile możności najrzadziej, wie bowiem, że tą drogą dostaje się najwięcej zarazków do organizmu; wije się z pragnienia, a wody nie pija, bo wie, że w jednej kropelce wylęgają się miriady bakteryj; dostaje bólu głowy z woni karbolowej, ale nie przestaje roztworem tego kwasu skrapiać mieszkania. Nawet we śnie trapi go zmora bakteryi. Zdaje mu się że ucieka przed bacylem, goniącym go z szybkością jaskółki. Trzeci maniak to żywy fonograf, poeta z zawodu, maszyna do wytwarzania ideałów i rojeń. Jak pszczoła ssie on słodycze z pucharów życia, gromadząc zapasy na dziś i na jutro, aż się w końcu cały przetworzy na lamus, na skład wrażeń, wtłoczonych w formę artystyczną, jak masło w dzieżkę. Stoły biesiadników przy których zasiadał, dawały mu tylko pomysły do utworów, od uczt miłości, upajającej innych rozkoszą, on wstał głodny i spragniony. A nawet wtedy gdy i jemu zabiło serce gwałtowniej gdy i nim wstrząsał dreszcz rozkoszy, djabełek literacki nie próżnował, mierzył nierówne uderzenia pulsów, szepty i okrzyki porządkował według skali tonów z tą myślą, że niebawem przeleje ów żar na martwy papier. Nie jestże on podobny do owej cynfoliowej tabliczki fonografa, który chwyta wszystkie dźwięki, aby je jak najwierniej odtworzyć?

Ostatnią wiązankę szkiców zatytułowaną „Neurotica“ wypełniają pod koniec dzieje miłości poety. Jedna wyrosła na owej glebie zbytku, rodzącej złote jabłka. Jabłko to w postaci pięknej, bogatej i dowcipnej kobiety nabył jakiś stary mąż, który nosił je przy sobie, bawił się niem, zakosztować go jednak nie mógł, było na jego stare zęby za twarde. Jestże przeznaczeniem jabłka uschnąć w złotej czarze przed pożerającym wzrokiem starca? Nie! Ono chce się rozpłynąć w ustach łakomej miłości. A jeżeli dodam, że ją sama popychała jakaś siła demoniczna w objęcia szału, czy potrzebne jeszcze zakończenie? Przyszedł czas, że ze złotego owocu zostały tylko ogryzki—kapitał młodości nie mógł dłużej usiedzieć na tem miejscu, należało go ulokować gdzieindziej.

Szaleństwem jest ożenić się dla pewnej linii, dla konturu, ale pomysły romantyków są niewyczerpane. Otóż i dla naszego poety stała się linia, która u różowego uszka poczęta, a po lekkim zgięciu gubiła się wśród koronek kołnierzyka, owym zaklętym fetyszem, który go zaprowadził na kobierzec. Linia czarodziejska, jak wszystko, co spełni cel swój, straciła niebawem swój urok osobliwy, utonęła jak kropla w morzu. W gonitwie wrażliwości zatrzymał się poeta u mety nagle. Poskromiła go żelazna dłoń — rozczarowania. I uczuł jak w żyłach krew powolniej zaczynała tętnić, a chłód obojętności rozlewał się po całem ciele. Zrozumiał romantyk, że owa idealna miłość estetyczna była raczej pociągiem ku rodzajowi.

Nie była to w istocie miłość, z równą słusznością moglibyśmy twierdzić, że kochamy różę, napawając się jej wonią, albo smakując owoce, które nam dają przelotne zadowolenie sytości.

Ostatnia miłość, etycznie najniższa, zajęła na drabinie estetycznej najwyższy szczebel. Sam wyznaje, że był jej — mordercą, tylko że morderstwo to spełnił w sposób, którego żadne prawodawstwo nie karze. Dom zrabował jej siłę mięśni, mąż wstrząsał nerwami, samotność, trzecia i najstraszniejsza klientka, zwaliła się kamieniem na jej duszę. Z nerwowym niepokojem kota patrzącego, czy mysz przezeń złowiona jeszcze dyszy śledził jak zanikała, a tempo tego zanikania zdawało mu się zbyt powolnem, znużyło go jak zbyt rozwlekły epilog dramatu. Dopiero w przededzień jej śmierci połączyli się na nowo. Demon, który oboje rzucił w objęcia złego, nasycił się i jak boa po spożyciu łupu legł nieruchomy. Na jego cielsku stanęła litość smutna, cicha, załamująca ręce nad bezgraniczną niedolą. Przez litość prowadzi droga do miłości. „Ja ją wtedy zacząłem kochać po raz drugi — nie pierwszy“! Poczya męczeństwa uczyniła ją w jego oczach piękniejszą, niż wszystkie powaby zmysłów. Było jednak zapóźno. Legła w mogile—zostawiając go z piekłem w sercu, z tysiącami tortur, na które pamięć rozpina go co dnia. „Nie umiałem kochać żywej, kocham dziś jej widmo i w tem moja pokuta.“

H. B.

LITERATURA EKONOMICZNA WE FRANCYI.

Dorobek naukowy w dziedzinie ekonomii politycznej przedstawia się we Francyi za rok ubiegły nadzwyczaj skąpo. Nowe kierunki — nawet realistyczno-historyczny znajdujący skromny przytułek w „Przeglądzie“ Gide'a — nie wyróżniły się żadną pracą; natomiast stara, liberalna szkoła, zbogaciła się wieloma. Na pierwszym planie trzeba postawić „Dictionnaire“ Leona Lay'a *). Pierwszy tom tego wydawnictwa jest już zupełnie ukończony, drugi i ostatni wkrótce wyjdą. Jest to dzieło nadzwyczaj ważne, gdyż od roku 1853 nic podobnego w języku francuskim się nie ukazało, dawny zaś „Słownik“ jest już pod wielu względami przestarzały. Nie można zresztą powiedzieć, aby obecny w zupełności odpowiadał wymaganiom i stanowi nauki. O ile chodzi o kwestye czysto praktyczne z dziedziny przemysłu, handlu i finansów w rodzaju: budżetu, kanałów, zboża, kolei żelaznych, kolonii etc., nie przedstawia on nic do życzenia, zawiera bowiem ściśle ułożony i nader bogaty materyał faktyczny, doprowadzony do czasów ostatnich. Pod

*) *Nouveau dictionnaire d'économie politique* publie sous la direction de L. Say et J. Chailly. Paryż 1891.

względem teoretycznym jednak stoi niżej wszelkiej krytyki. Metoda stara, dedukcyjna, klasyków francuskich, a duch, jakim całe dzieło jest przesiąknięte — wolnohandlowy, w najgorszem znaczeniu, bo z odcieniem Bastiata. Oprócz tego systematycznie omijane są wszystkie doktryny, niezgodne z kierunkiem wydawnictwa; tak np. w teoryi Kapitału nie znajdujemy nic o poglądach Marxa, ani nawet o ekonomistach (Saxie, Böhm-Bawerna). Jest to wszakże zbiór wyśmienitych monografij, pisanych na wielką skalę. Dla tego trzeba wybaczyć poniekąd braki teoretyczne, zwłaszcza, że ekonomia polityczna znajduje się obecnie w takim stanie, iż monografie i badania specyalne są dla niej najbardziej pożądane.

Takież same zalety i zupełnie też same wady przedstawia również najnowsze dzieło Leroy Beaulieu „L'état moderne et ses fonctions." Pierwsze dwie jego księgi zawierają wykład poglądów na państwo i społeczeństwo rozmaitych szkół socyologicznych, wykład nadzwyczaj powierzchowny i niedokładny. Zapatrywania samego autora na te kwestye odznaczają się godnem uwagi ubóstwem myśli. Jest to oklepany katechizm liberalizmu. W pięciu następnych księgach autor zastosowywa go do: prac publicznych, religii, wychowania, dobroczynności, reglamentacyi pracy, specyalnych wypadków interwencyi państwowej i do kolonij. Funkcye normalne państwa powinny się ograniczać, zdaniem jego, do następujących dziedzin: 1) czyni ono zadość potrzebom wspólnym narodu (obrona, bicie monety etc.); 2) jest stróżem praw i odpowiedzialności; 3) będąc wieczystem, broni interesów długotrwałych obchodzących pokolenie przyszłe, wobec nieprzezorności osobników; 4) jest naturalnym opiekunem istot słabych; 5) może okazywać pomoc przygodną rozwojowi prac jednostkowych. Pod względem robót pokrewnych L. Beaulieu jest przeciwny wykonywaniu ich za pośrednictwem państwa: nawet koleje żelazne powinny być przedsiębiorstwami czysto prywatnemi. W kwestyach swobody myśli, religii i wykształcenia autor ściśle trzyma się poglądów liberalizmu. Rozdział zaś kościoła i państwa wydaje się mu na kontynencie europejskim jednym z projektów „najbardziej przewrotnych i zgubnych dla pokoju i jedności społecznej. Ukształcenie wyższe, wytwarzając czynniki niezadowolone i pochopne do zmian, powinno być wstrzymywane. Potok ten, zbytecznie, zdaniem autora wezbrany, trzeba skierować ku pracom ręcznym. Co się tyczy dobroczynności, L. Beaulieu nie sprzyja „legalnej" tj. państwowej, pozostawiając załatwienie tej potrzeby społecznej w zupełności inicyatywie prywatnej. Wszelki ustrój, który formalnie przyznaje ubogiemu prawo do pomocy, „jest demoralizujący," a pomoc państwowa „obniża społeczeństwo, odejmując bogaczowi zasługę dowolnej szlachetności." Autor godzi się z reglamentacyą pracy kobiet i dzieci, ale nie—mężczyzn.

Niechęć zrodziła także ostatnie dzieło Molinarego: „Nations fondamentales d'economie politique et programme économique." We wstępie autor przyznaje, iż „postępy wszelkiego rodzaju zwiększyły od wieku potęgę wytwórczą człowieka i wywołały niesłychany przyrost bogactw — ale czy to, że rezultaty tej wytwórczości zostały zmniejszone przez użycie nieprodukcyjne, lub szkodliwe, czy też że podział ich jest wadliwy, dość iż położenie większości pracowników nie polepszyło się w stosunku do wzrostu wytworów." Stąd cierpienia i niezadowolenie, tworzące istotę kwestyi społecznej. W końcu autor przychodzi do wniosku, że dla zapobieżenia złemu trzeba zmienić „nie sposób podziału bogactw, lecz warunki, które stawiają robotnika na łasce przedsiębiorcy, a szczególniej nieuregulowaną pożądliwość, która pobudza go do rozmnażania się bez granic." Warunki nienaturalne, stojące na przeszkodzie ogólnemu szczęściu, są „le politicianisme, le militarisme et le protectionisme." Wolny handel, niebezpieczenie od wojny za pomocą odpowiednich instytucyi rozjemczych i powściągliwość płciowa u robotnika — wszystko to zmniejszy nędzę, jakkolwiek nie zniszczy jej w zupełności, jest bowiem w naturze rzeczy i nie jej wytępić nie zdoła — twierdzi Molinari.

„Towarzystwo studyów ekonomicznych" wydało w roku bieżącym dwie książki, jedną E. d'Eichthala „Nationalisation du sol et collectivisme agraire," w której znajdujemy wykład poglądów na odnośne kwestye Collinsa, Flursheima, Russella, Wallace'a i H. George'a, a także dziełko R. Laboulaye'a p. t. „Thorold Rogers: Ses idés sur la propriété." To ostatnie ważne jest z tego względu, iż zaznajamia nas z poglądami praktycznymi znakomitego ekonomisty, zmarłego w roku bieżącym. Autor „Ekonomicznej i przemysłowej historyi Anglii" i „Dziesięciu wieków pracy i płacy" był taką potęgą naukową, iż poglądy te ze wszech miar godne są uwagi. Rogers walczy z tymi, którzy uważają, iż cierpienia klas niższych są własnem ich dziełem: przyczyna tych cierpień kryje się, zdaniem jego, w nadużyciach bezpośrednich społeczno-prawnych. Nie mniej energicznie wszakże napada i na tych, którzy dla rozstrzygnięcia kwestyi chcieliby znieść własność prywatną. Obecna organizacya własności ziemskiej w Anglii wywołuje w nim oburzenie. Jego „Historya dziesięciu wieków pracy i płacy" była aktem oskarżenia, skierowanym przeciw landlordom od czasów Henryka VIII aż do chwili obecnej. Przychylność wzbudza ich gospodarka tylko w XVIII w., gdy sami zajęli się uprawą ziemi i dawali przykład udoskonaleń rolniczych. Ideałem Rogersa jest taki właśnie ustrój, chociażby mu nawet towarzyszyła renta. Ale jeżeli ona jest prawowitą i naturalną, to nie jest wszakże dla angielskiego ekonomisty rzeczą świętą, którą trzeba byłoby bronić, a tem bardziej jeszcze faworyzować za pomocą forteli prawodawczych. Główne jego ciosy skierowane są przeciw protekcyonizmowi, który wywołuje wzrost renty i „zbiera systematyczną daninę z jadła i garderoby biedaka." Walka przeciw cłom nie zaciąga Rogersa wszakże do obozu absolutnego *laissez-faire*. Przeciwnie, wymaga on reform państwowych. Dowodzi, iż wiele cierpień ma za powód braki nietylko obecnego prawodawstwa, ale i dawno przebrzmiałych. Skutki przeżyły przyczyny i sama „wolność" przeciwdziałać im nie może. Zdaniem Rogersa, robotnika rolnego gnębią nietylko pewne artykuły istniejącego kodeksu, np. te, co krępują wolny obieg ziemi lub ulżyły właściciela ziemskiego ze szkodą dla płacących podatki wogóle, ale jeszcze prawa oddawna zapomniane, jak legalne ustanawianie płac przez wielkich właścicieli. Reformom państwowym nie trzeba jednak pozostawiać zakresu nieograniczonego. Rogers woli np., aby ośmiogodzinny dzień zdobyty został przez samych robotników, połączonych w stowarzyszenia, niż drogą prawodawczą. Uznaje wogóle potrzebę interwencyi państwowej tylko dla osób, które nie są w stanie zawierać wolnych kontraktów, jak dzieci lub upośledzonych przez naturę. W innych wypadkach „Trades Uniony" mają wystarczać. Nareszcie udział państwa w wytwarzaniu uważa za zgubny, rujnujący i tyraniczny — nie wierzy bowiem w jego zdolności jako fabrykanta i producenta.

Eipon.

SRÓD MUZ.

XI.

W Salonie Krywulta.

Ote toi, que je m'y mette — tak zdaje się mówić w drugiej naszej galeryi obraz do obrazu. Codziennie bowiem niemal zmieniają się one miejscami, lecz żaden swojego zagrzać nie potrafi. I nic dziw, jakże może być im ciepło, kiedy nie mają słońca, które czasem tylko dla fantazyi wśliznie się do tej piwnicy drugiego piętra, rzuci trochę blasku na pierwsze lepsze ramy i dalejże znowu w świat.

Ten brak światła za każdym razem wprawia nas w nastrój elegijny. Ilekroć zwabieni afiszami, pędzimy na górę „z niesłychanem naprężeniem," jak mówi pewien dziennik, aby obejrzeć nowe dzieło sztuki, zawsze wpadamy w kłopot z powodu trudności rozpoznania kolorów. W dodatku właściciel wystawy podlega widocznie złudzeniu, że posiada miejsca ilość dostateczną, skoro najlepszy kącik nieraz poświęca płótnu, które znakomicie zyskałoby na tem, gdyby skromnie jak fiołek w trawce, kryło się w pół-, a bodaj w zupełnym mroku. Taki właśnie szczęśliwy, choć nie całkiem, jak zobaczymy, zasłużony los spotkał wielki utwór krakowianina p. Stasiaka, przedstawiający skandal w kościele, gdzie podczas ślubu młodej pary zjawia się nagle z pewnemi roszczeniami dziewczyna z krzyczącym protestem na ręku. Wielkich rozmiarów malowidło to z okolic zakulisowych salonu głównego przewędrowało na niezłą wcale i godną lepszej karyery ściankę pokoju mniejszego, ażeby ukazać w całym majestacie swe niezwykłe zalety... Powstrzymajmy się jednak od wyliczania ich — zbyt łatwym tryumfem byłoby, mówiąc już poważnie, ośmieszyć p. Stasiaka. Zawrzyjmy lepiej w paru zwięzłych słowach swoją życzliwą radę profana: Obraz żadną miarą nie może i nie powinien świecić się, jak świeża cerata czarnego koloru, z której jednak odpadają tu i owdzie płatki, zostawiając nagie płótno — jeśli chce pretendować do baczniejszej, nieszyderskiej uwagi widza. Obraz nie może robić ludzi geometrycznemi liniami i składać się z samych kątów prostych, jeśli nie chce robić wrażenia grupy manekinów, obracających się na kiju, a to właśnie ma miejsce nietylko w „Przerwanym ślubie," ale i „Oczepinach." Druhna, mająca zwichniętą szyję i ramię, nie mogłaby schylić się dla podniesienia uronionego bukietu. Wszystkie kumoszki nie mogą być waryantami jednego tylko, niezłego zresztą typu gminnej, zaułkowej twarzy. Kolorystyczna zaś całość płótna nie ma zasady współzawodniczenia w efektach swych i ogólnem wrażeniu z salcesonem. A taką właśnie nieszczęsną wędliną są wszystkie bez wyjątku rzeczy tego artysty, zarówno wywieszone u nas, jak i w Krakowie. Pana Stasiaka pali widocznie jakaś gorączka sławy i zamiast wziąć się sumiennie do nauki i wyrobienia smaku, który we wspomnianym temacie jest niżej, niż reporterskiej mostkowo-pożarowej skali, zasypuje wystawę produkcyami, godnemi jedynie szczerego współczucia i marnuje właściwy sobie zmysł do rodzaju drobnomieszczańskiego.

Są jednak u Krywulta i dzieła istotnej wartości, i dziś nawet w większej, niż kiedykolwiek liczbie. Majstersztykiem koloru, temperamentu i światła są „Wesołe pacholęta," znane już wszystkim z wielu wzmianek dobrze. P. Wyczołkowski, nie uciekając się do impresyonizmu—w samym obranym przez siebie motywie, w owych paziach, giermkach czy trubadurach znalazł pole do roztoczenia niezwykle szerokiej gamy barw i podniesienia ich do wysokiej skali. Efekt wypadł niezmiernie żywy i harmonijny, szkoda tylko, że ciała młodzieńców wcale się w wysokiej trawie nie zdają zanurzać i leżą na niej zamiast w niej i że obraz z każdym dniem traci na jasności. W ten sposób maluje i orzeźwiające — *sit venia verbo* — jego działanie.

Poczucie koloru, w związku jednak z dosadnym realizmem wykazuje p. Hyacynt; jego chłopek siedzący w wysokiej, silnie zie-

lonej trawie, którą patrzą jedynie i urozmaicają żółte główki mleczu, posiada dużo siły i charakteru. „Janko muzykant“ zlewa się za to z okalającemi go szuwarami w jednę szarą, ciemną masę. Ruch jego, nie mający nic zgoła wspólnego z uczuciem, podobnie jak i wyraz twarzy, daleki od wszelkiej egzaltacyi a blizki bólu żołądka, trąci manierą. Więcej już wdzięku naturalnego widzimy w skrawku błękitnego stawu, pochwyconym śmiało i bez oglądania się na powaby linii i kompozycyi, i nad którego brzegiem siedzi w zadumie mężczyzna; jest w tem i prawda i odrobina poezyi i troszkę oryginalności.

Od okropnego portretu (śpiewaka Mierzwińskiego), który pastelami wykonał, chyba w godzinie złego natchnienia, p. Styka, portretu, na którym glina i ciasto uwzięły się zastąpić jędrny męzki profil, przechodzimy nie bez zadowolenia do całego cyklu pasteli p. Władysława Loevego. Młody ten artysta wystąpił dwornie, z całym orszakiem i dużą brawurą w głowach, główkach i figurkach. Są one bardzo nierównej ceny. Portret p. Wyczołkowskiego, w lisiej czapie i z cybuchem w ustach, pojęty oryginalnie i subtelny w wyrazie. Pankiewicza prawie tak samo. Wizerunek bruneta zawieszony po lewej stronie tuż przy oknie, posiada sporo smaku i swobodę rysunku obok niejednakowych, a więc nieprawdziwych czerwoności pod oczami. Jego *pendant* za to, wiszące po prawej stronie, u dołu, jest parodyą portretu z ohydnym rysunkiem czoła i takim wyrazem oczów, jakgdyby każde do innej należało fizyognomii. Żywym jest młodzieniec w czapce tyrolskiej, przechodzący profilem. Dziewczynka z egipskiem zapaleniem powiek dziwnie krojem twarzy przypomina baletnicę w różowych gazach, która choć ma lewy policzek spuchnięty w okolicach podbródka, należy do grupy prawdziwie szykownych robót p. Loevego. Dobrze wypadła jej powiewna spódniczka, jeszcze lepiej trykoty, również niczła jest karnacya gorsu i rąk, chociaż kontury tych ostatnich zdradzają płytką, pamięciową robotę. Delikatnem zaleca się i smakowitem wykończeniem dama w łunie czerwonawych refleksów, darmo jednak szukałbyś w niej wyrazu. W długiej przeraźliwie i monstrualnie chudej modelce, która leży na szerokiej, jak plac boju, otomanie i wygląda na niej, niby gałąź suchej wierzby na polu, czuć pogoń za pieprznością ultra-paryską i nic więcej. Szkice — górne — dwóch pań, zwłaszcza ubranej z hiszpańska śwaidczą o ręce, która przy większej wiedzy malarskiej, mogłaby dojść dosyć daleko w kierunku osiągania charakteru, ruchu i pozy malowaniem szerokiem, czyli kosztem niewielkim. Atoli artysta zdaje się przeceniać nieco zdolności swe i umiejętność i lubi błyskać takiemi efektami, z których widać przedewszystkiem zupełną jeszcze jałowość pomysłu i naciągane koncepta w rodzaju dziwadła uczniowskiego p. t. „Z epoki kamiennej,“ lub pejzażu „Nad morzem czarnem,“ który trudno nam nazwać inaczej jak... malarską blagą. Oczywiście jest tu pożądane surowe a poważne kierownictwo, jeżeli ów niewątpliwy dar władania pastelami ma przynieść trwalsze owoce artystyczne. (D. n.).

Cezary Jellenta.

JAN TATARKIEWICZ.

(Wspomnienie pozgonne).

Oddawna dotknięty ciężką chorobą, do ostatnich jednak dni czynny, zadziwił wszystkich śmiercią niespodziewaną a zasmucił przedwczesną. Zeszedł bowiem ze sceny i życia w sile wieku. Grając przeważnie role ludzi młodych, kochanków, bohaterów pełnych energii i nadziei, tem bardziej sprawiał wrażenie organizacyi czerstwej, której siły na długo jeszcze starczyć będą. Tymczasem on rozsiewając uroki młodości, szybkim krokiem zbliżał się do grobu. Po Żółkowskim, Królikowskim, Tatarkiewicz — to straty dla teatru naszego zbyt szybko uderzające. Zmarły nie był talentem pierwszorzędnym, ale był wybitnym. W przedstawieniu charakterów czułych rzewnych, a nawet głębokich i poważnych rzadko nas zachwycał; natomiast role lekkie, wesołe, tryskające żwawym temperamentem, miały w nim nieporównanego aktora. Kilka stworzonych przez niego postaci charakterystycznych na długo utrwaliło się w pamięci ogółu.

Jako reżyser, nie podniósł repertuaru, gdyż pamiętał o nim głównie ze strony aktorskiej i uległ wpływowi paru autorów scenicznych, nie mając pod względem estetycznym zdecydowanych zasad i upodobań. Kierował się jednak dobrą wolą i prawdziwą miłością dla sztuki.

Pozostanie po nim próżnia, którą zapełni tylko ogólny żal i życzliwe wspomnienia. Muzie ubył z nielicznego wszakże jej żyjących synów jeden z najlepszych.

F.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO

29 listopada.

Walne zebrania, sprawozdania i nowe Towarzystwa.— Indeks obywatelski. — Rada m. Poznania. — Żydzi nie dający się nawrócić. — Przesilenie bankowe.

Towarzystwo „Ogród zoologiczny“ odbyło d. 9 listopada nadzwyczajne zebranie przy bardzo licznym udziale swych członków dla należytego uporządkowania spraw majątkowych. Rozpoczęła się dlań nowa era działalności. Przedewszystkiem w roku bieżącym cesarz nadał mu prawa korporacyjne i zatwierdził nowe statuty, uchwalone przez członków jeszcze d. 12 czerwca r. b. Następnie Towarzystwo nabyło na własność znaczny obszar gruntów, potrzebnych tak na budowle dla zwierząt, jak i na paszę dla nich, wzniosło nowe budynki, rozszerzyło lokale restauracyjne i ogród przeznaczony na koncerty. Walne zebranie obecne sprawdziło i zatwierdziło rachunki z tych prac i wybrało 12 członków zarządu, podczas kiedy dotychczasowy składał się tylko z 3. W ten sposób stanęło tak pożyteczne dla Poznania Towarzystwo już na silnej podstawie i rozporządza wcale znacznym majątkiem.

W Piotrowie odbyło d. 8 listopada Towarzystwo rolnicze mniejszych posiadłości, zawiązane w Głuszynie, również swoje doroczne walne zebranie. Przybyło zaledwie 20 członków, samych rolników mniejszych posiadłości, dziedzice i dzierżawcy świecili nieobecnością. Tegoż samego dnia obradowało Towarzystwo rolnicze w Górczynie, dnia 15 listopada pelplińskie Towarzystwo rolnicze w Pelplinie, dnia 22 listopada Zebranie rolnicze na okolicę Łobżenicy w Łobżenicy i w tymże dniu Towarzystwo naukowej pomocy dla powiatu mogilnickiego, dnia zaś 26 w Sierakowie toż samo Towarzystwo na powiat międzychodzki. Nadto dwa jeszcze Towarzystwa ogłosiły sprawozdania ze swych czynności: „Stella“ w Berlinie i „Jedność“ w Chemnitz. Pierwsze z 88 członków wskutek wyjazdu, zalegania wkładek i wystąpień spadło do 46. Pracowano w niem uczciwie i pilnie, jednocząc się na odczytach, których było bardzo wiele, wykładach, zabawach i przedstawieniach amatorskich. „Stella“ rozporządza niestety bardzo skromnymi środkami; prenumeruje zaledwie 9 pism polskich, w bibliotecze liczy 68 książek, a obrót jej kasowy wynosił w dochodzie 639·23 marek w rozchodzie 616·17 m.

Jeszcze lepiej brzmi sprawozdanie „Jedności.“ Stowarzyszenie liczyło na początku roku ubiegłego 7 członków czynnych, 2 zamiejscowych, 4 honorowych. Weszło w ciągu roku 17, wstąpiło 9, wykluczono 1. W tem szczupłem gronie, mającem dochodu zaledwie 140·72 marek, czytano, pracowano, bawiono się i uczono! Z tych 140 marek i 72 fenigów wydano na prenumeratę pism i listy 47 m., na książki 26 m. 98 f. na oprawę 3·80 m, na szafę biblioteczną 32 m., na fundusz żelazny 766 m., na zakup kalendarzy 2·40 m. i pożyczono członkom 20 m. Przeszło 100 marek na potrzeby ducha, a dopiero reszta na inne cele. Biblioteka Towarzystwa liczy 363 dzieł w 445 tomów, z których w tym roku 315 przeczytano.

Nie mogę też pominąć stowarzyszeń, które dopiero się zawiązały, mianowicie w Lutomiu pod Sierakowem Kółko rolnicze dla parafii lutomskiej i łężyckiej, Kółko rolnicze w Opalenicy, a wreszcie centralne Towarzystwo ogrodnicze dla Poznańskiego. To ostatnie jeszcze się nie zupełnie zorganizowało.

Ilekroć zaczynamy się tutaj liczyć, pokazuje się, że zawsze kogoś już nie dostaje. Przypadła obecnie kolej na powiaty chełmiński, toruński, wąbrzeski, grudziącki, brodnicki i lubawski; obliczono tu większych majątków 470, z tego w rękach słowiańskich dziś już, niestety, tylko 52. Przypominają tu sobie niektórzy lepsze czasy i oto z tych wspomnień wynika, że od r. 1856 ubyło z naszych szeregów aż 36 rodzin obywatelskich w tych okolicach. Oto ich nazwiska:

Goździejewscy, Sampławscy, Kobylińscy, Kaweczyńscy, Działowscy, Trębeccy, Bronisze, Gótkowscy, Kleszczyńscy, Starzyńscy, Lisowscy, Suffczyńscy, Wilczyccy, Jackowscy, Przyłubscy, Murawscy, Kowalscy, Czapscy, Narzymscy, Wybiccy, Dzierzgowscy, Podczascy, Brzozowscy, Sulerzyccy, Kucharscy, Klińscy, Prądczyńscy, Łaszewscy, Kruszyńscy, Lewińscy, Sumińscy, Goskowie, Mazowieccy, Zawiszowie, Wysoccy, Lniscy. Jedni wyprzedali swe majątki z biedy, drudzy z powodów familijnych i inni wreszcie przenieśli się w dalekie stąd strony. Jeszcze straszniej przedstawi się nam ten obraz, skoro za podstawę obliczenia naszego weźmiemy rok 1821. Od niego do 1856 znikły następujące rodziny:

1) *Z Chełmińskiego:* Bajerscy, Borowscy, Borkowscy, Grodzcy, Helden-Gąsiorowscy, Jezierscy, Kczewscy, Kiełczewscy, Łońscy, Płacheccy, Pląskowscy, Trzcińscy, Zboińscy, Żelewscy, Zdrojewscy;

2) *Z Toruńskiego*: Dembińscy, Kowalewscy, Morańscy, Paliszewscy, Pinińscy, Sumińscy (nie hrabiowie) i Zielińscy;

3) *Z Grudziąckiego*: Czapliccy, Stolińscy-Kalksteinowie, Karkowscy, Krakowscy (Zawada), Nowińscy i Tryńscy;

4) *Z Brodnickiego*: Chrapkiewicze, Czyżewscy, Jaworscy, Sassowie, Jezierscy, Kurzętkowscy, Krzywkowscy, Łojowscy, Moszczyńscy, Napierscy, Obremscy, Orłowscy, Pawłowscy, Popkowscy, Rynkowscy, Szelsińscy, Starorypińscy, Stroszewscy, Succorscy, Swinarscy, Tokarscy, Trzcińscy, Wilczyńscy, Wilczewscy, Zalescy, Zgliszczyńscy;

5) *Z Lubawskiego*: Dzierzyńscy, Kossowscy, Bąkowscy, Pawłowscy, Pląskowscy, Kleszczyńscy, Romińscy, Sumińscy, Mirosczewscy, Chełstowscy.

W ubiegłym miesiącu uzupełniła się wreszcie nasza rada miejska i jest znów w komplecie. Niestety, usiłowanie prasy tudzież pewnej części ludności, aby wybory nie wypadły na korzyść niemców, nie powiodło się w zupełności. Jak ta rada wygląda! Na 36 członków jest aż 17 żydów (oczywiście wolnomyślnych), 6 katolików (4 polaków) i 13 ewangelików. Według zawodów — 13 kupców, 6 adwokatów, 3 mistrzy mular-

skich, 2 budowniczych, 2 lekarzy, 2 urzędników, 1 redaktor, 1 dyrektor banku, 1 mechanik, 1 weterynarz, 1 właściciel browaru, 1 fabrykant kapeluszy i 1 komisarz akcyjny.

Ta nadmierna ilość żydów zwróciła już nawet uwagę towarzystw misyjnych, z których ramienia przybyli dwaj pastorzy p. Baron z Londynu i Walfisch ze Zgorzelic, aby niewiernych przynajmniej częściowo nawrócić. Obaj misyonarze są przechrztami. Mieli oni tutaj w sali Sterna wykłady na temat „Mesyanizm Jezusa z Nazaretu.“ Sala była pełna — tylko głównie w odczycie interesowani, tj. żydzi zupełnie się nie zjawili.

Przesilenie finansowe w Berlinie odbiło się i na Poznaniu. Firma bankowa R. Seegall zaprzestała wypłacać depozyta i zwołała wierzycieli. Zdaje się jednak, że obejdzie się tu bez interwencyi sądu, mimo że aktywa wynoszą tylko około 240,000 marek, a pasywa pół miliona. O wiele smutniejszem jest położenie jednego z większych posiadaczy ziemskich w Poznańskiem. Pan ten, zacięty wróg Słowiańszczyzny, a wielki przyjaciel Bismarka, stracił na spekulacyi spirytusowej do 7,000,00 marek.

t. z.

LIBERUM VETO

Przygotowania do wojny ortograficznej. — Krótkie dzieje postępowania Akademii umiejętności w tej sprawie. — Jej niezależność wobec specyalistów. — Narady biegłych i wyrok najwyższego trybunału. — Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu bez zasłony. — Wygnanie p. Turskiego. — Materyał, z którego prasa korzystać nie może a sąd powinien. — Setna rocznica śmierci Mozarta. — Potęga natury i niemoc ludzka. — Wieczór poświęcony wielkiemu mistrzowi.

Rudini, Salisbury, Kalnoky, Caprivi, a podobno nawet jeszcze lepiej poinformowani żydkowie nasi zaręczają, że wojny nie będzie. Wobec tak zapewnionego pokoju, kiedy proch bezdymny nie spieszy się z debiutem, a nowonarodzone karabiny leżą bezczynnie i ziewają, nieładnie jakoś rozpoczynać walkę z krakowską Akademią umiejętności, z tą młodą, a tak starą twierdzą. Jednakże lingwiści nasi, zgorszeni ostatnim grochowym strzałem tej fortecy, zamierzają podobno przypuścić do niej szturm ortograficzny. Oburzył ich bowiem zarówno sam wyrok w sprawie pisowni, jak i procedura, która była jego matką. Rzeczywiście podobnej — jakby powiedział prawowity warszawiak — „ankiety“ czy „imprezy“ chyba jeszcze żadna akademia nie próbowała. Zdarza się w życiu publicznem, że weterynarz bywa dyrektorem teatru, a estetyk rachmistrzem kolejowym, ale to dzieje się po za akademiami. Mędrzec uznaje tylko prawo wiedzy, a na wszelkie komedye nauki odpowiada z ironią: „Osioł zachowuje swoje długie uszy nawet wtedy, gdy się karmi ostem greckim.“ Tymczasem Akademia krakowska, zmordowana wreszcie naleganiami, ażeby „zajęła wyraźne stanowisko“ wobec zamętu naszej pisowni, rozwiązała kwestyę sposobem, który jej tylko bardzo fantastyczne sny wskazać mogły. Naprzód wezwała główniejszych lingwistów i znawców języka polskiego, ażeby jej złożyli swoje poglądy; prawie wszyscy zgodzili się na jedno, co ich rzecznik, J. Karłowicz, przedstawił w obszernym memoryale. Dotąd poważna symfonia — a odtąd skoczny taniec. Sekretarz Akademii przyjeżdża do Warszawy i zgromadza biegłych, między którymi znajdują się: filozofowie, historycy, lekarze... i jeden lingwista. O tym jednym śród tego zgromadzenia przysięgłych powiedziałby Shakespeare: „Sir Kryński mógłby zjeść w nich swą cząstkę w sam wielki piątek i postu nie złamać.“ Tyle w nich było jego wiedzy lingwistycznej. Ale właśnie tą prostotą ducha zaimponowali oni Akademii, która wywody specyalistów wrzuciła do kosza, a przyjęła „głos ludu“ i oczyściwszy go mądrością swego sekretarza (historyka), ogłosiła znany wyrok. Chociaż ukończyłem na uniwersytecie wydział filologiczny i stoję często śród płomieni walk ortograficznych, nie mogłem dotąd rozgorzeć do żadnego ich sztandaru i z jednaką gotowością mogę pisać *Marya* lub *Maryja*, a nawet pokonać w sobie nawyknienie lat wielu i usadowić *e* w trybie bezokolicznym słów (biec, lec). Pragnę tylko, ażeby raz pisownię ustalono i ażeby to uczynili nie szewcy, krawcy, farmaceuci, historycy, lekarze, ale językoznawcy. Oni ją najgruntowniej zbadali, najlepiej rozumieją i najpewniej ustrzegą nas od błędów i dziwolągów. Nie przeczę, że każdy człowiek ukształcony ma w tym przedmiocie jakieś usprawiedliwione zdanie, ale sądzę, że ludzie ukształceni skanalizowaliby również Warszawę, a jednak bardzo słusznie powierzono to inżenierom. Jestem również pewien, że niejeden historyk potrafiłby dobrze zastosować winko rabarbarowe i wyleczyć człowieka chorego, mimo to w takich wypadkach wzywamy medyków. Dlaczego Akademia umiejętności uznała, że lekarze, historycy i filozofowie obmyślą rozumniejszą pisownię, niż Baudouin de Courtenay, Karłowicz, Kryński, Malinowski, zwłaszcza że należą jako członkowie do jej szanownego ciała, byłoby niepojętem, gdyby pewnego światła na tę zagadkę nie rzucała chęć okazania się niezależną „władzą.“ Taki wysoki trybunał musi postawić się po nad żądaniami pobocznemi, inaczej, zdaje mu się, uchybiłby swojej powadze. On jest od tego, ażeby rozkazywał, nie zaś słuchał. Nie potrzebuję namawiać czytelników, ażeby z tej komicznie olimpijskiej miny uśmiali się serdecznie, bo sami to uczynią. Zwrócę tylko jeszcze ich uwagę na jeden punkt: gdyby tak postąpiła nie Akademia krakowska, gdyby inna instytucya, „niecieszącą się ogólnem poważaniem,“ zlekceważyła głosy specyalistów, zwołała na naradę w kwestyach języka ludzi niemających pojęcia o lingwistyce i narzuciła ogółowi swoją wolę — co byśmy wtedy powiedzieli? Rozważcie to sobie we wszelkich możliwościach.

Wiedzieliśmy lub domyślaliśmy się, że w Towarzystwie oczyszczania i sprzedaży spirytusu dzieje się źle, ale że aż tak brzydko, jak twierdzi p. Turski w swem wyjaśnieniu, dołączonem do *Gazety handlowej*— tego nie przypuszczaliśmy. Toż tam ścierały się nie odmienne zdania, ale odmienne moralności, a obecna polemika przebiega tak blizko sądu karnego, że chyba do niego wpadnie. P. Turski, ostatni dyrektor handlowy Towarzystwa opowiada, że objąwszy swe obowiązki, znalazł bilans sfałszowany i wykazujący 34,351 rs. zysków tam, gdzie były straty. Zwrócił się więc z przedstawieniem istotnego stanu rzeczy do prezesa, p. Przyłubskiego, który naprzód zaprzeczył jego odkryciu, a następnie poprosił o przykrycie prawdy korcem do czasu. Wkrótce jednak prezes zaczął objawiać niechęć nowemu dyrektorowi i w porozumieniu z poprzednim złożył zarządowi drugi bilans, podający 34,512 rs. zysków za 4 miesiące. „Słysząc to — pisze p. T. — oniemiałem, nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć wobec rozmowy, jaką miałem już z prezesem.“ Naturalnie zarząd „ucieszył się“ tym rezultatem, chociaż p. Turski skropił go zimną wodą. W kilka tygodni potem odbyło się znowu posiedzenie, na którem tą samą drogą sfabrykowany bilans podnosił cyfrę zysków (za ostatni miesiąc) o 12,000 rs. Wtedy p. Turski zamiast kropli, spuścił strumień zimnej wody, oświadczając, że cały ten zarobek jest zmyślony. Wybuchło starcie, prezes domagał się dymisyi buntowniczego dyrektora, której mu odmówiono, wreszcie zarząd postanowił, ażeby zakwestyonowany bilans usprawiedliwiono cyframi. Chociaż i tym razem p. Turskiego usunięto od udziału w obliczeniach, „zagubiono“ jego notatki ze sprawdzenia inwentarza itd., chociaż rolę jego odbywał niewidzialny na scenie a czynny za kulisami poprzedni dyrektor, nowy, poprawiony przez pp. Przyłubskiego i Radziszewskiego bilans zamiast 46,512 rs. zysków, wykazał *tylko* 3,366 rs. Zbliżała się chwila krytyczna — posiedzenie zarządu, któremu trzeba było oznajmić smutną nowinę. „Zjawia się u Turskiego p. Radziszewski i ofiaruje zapłatę za to, aby milczał, aby nie rozgrzebywał sprawy, aby dalej niczego nie dochodził“ itd. P. Turski nie godzi się na ten handel i na podstawie tych samych materyałów, które służyły w obrachunku jego przeciwnikom, dowodzi zarządowi, że Towarzystwo nietylko nie osiągnęło ani wielkich, ani potem zmniejszonych zysków, ale nadto poniosło 31,132 rs. *strat*.

Nie będę zmuszał czytelnika do dalszego brodzenia w tem błocie, które nam p. T. odsłonił; jak ono zaś jest grząskie, zaświadczy jeden z wielu przytoczonych faktów. „W styczniu 1891 r. — pisze p. T. — fabrykant beczek, Waliszewski odnosił się piśmiennie do ówczesnego zarządu Towarzystwa (z zawiadomieniem), że były dyrektor handlowy, p. Radziszewski, nieprawnie pobrał od niego tysiąc rubli tytułem porękawicznego na mające się dostarczać beczki i prosił zarząd o windykacyę od p. Radziszewskiego tychże nieprawnie od niego pobranych datków“ — czemu zadość nie uczyniono.

Dla uwydatnienia moralnej strony tego gospodarowania winniśmy dodać, że prezes pobierał 4,200 rs. pensyi, członkowie rady za posiedzenia 2,040 rs., dyrektor 4,200 (a w r. 1888 otrzymał 7,228 rs.) — czyli wszyscy ci panowie byli szczodrze zaopatrzeni a zabezpieczeni od tych pokus, jakie ukryły się w bilansach.

Dotąd p. Turski, teraz my powiedzmy słów parę.

Postawione przez niego zarzuty są oskarżeniami tak ciężkiemi, że dla odparcia ich i wogóle dla wyprania bielizny Towarzystwa nie wystarczają już ługi polemiczne. Mniemamy też, że postawieni pod pręgierzem, jeżeli czują jakąś krzywdę i możność obrony swego honoru, albo też zmniejszenia swej winy, staną do rozprawy przed jakimś sądem, państwowym, czy obywatelskim. Sądem takim nie mogą być w żadnym razie ani redakcye, ani koła czytelnicze pism peryodycznych, gdyż dla nich jedyny sprawdzian słuszności oskarżeń — zeznania świadków i księgi handlowe — są niedostępne. Gdzie zaś istnieją takie dowody, tam wykrycie prawdy nie będzie trudne, a jest konieczne, w interesie społecznym i jednostkowym. To, czego dowiedzieliśmy się od p. A. Z. z *Gazety warszawskiej* lub od p. Turskiego z *Gazety handlowej* przekonywa nas tylko, że w Towarzystwie oczyszczania i sprzedaży spirytusu spełniły się już pewne czyny, należące do zupełnie innej sfery, niż zwyczajne „omyłki“ i błędy, wynikające z „braku doświadczenia.“ Owszem, tam widocznie było doświadczenie, tylko dla akcyonaryuszów przedsiębiorstwa niepożądane. Naturalnie już obecny stan tej sprawy uwalnia nas zupełnie od rozbioru tych mydlin, któremi w kilku pismach usiłowano natrzeć oczy opinii publicznej, użalając się na „intrygę,“ na „ludzi usiłujących podkopać byt Towarzystwa,“ na pomoc w tem podminowywaniu go ze strony niektórych organów prasy i tym podobne okropności. Owe organy czuły zalatującą z Towarzystwa woń zgnilizny, którą płatnemi i bezpłatnemi perfumami pochwał dziennikarskich usiłowano stłumić i która teraz buchnęła duszącym wyziewem. Kto lepiej usłużył dobru społecznemu — czy krzykliwe czajki, które

ostrzegły o niebezpieczeństwie, czy bielono kruki, które udawały gołębie — dziś okazuje się jasno.

* * *

W dniu, w którym obecny numer *Prawdy* w świat wyjdzie, wybije godzina stulecia od śmierci jednego z największych geniuszów ludzkości — Mozarta. Z tego fenomenalnego człowieka wyszły dwa objawienia: przekonano się, jak olbrzymie potęgi spoczywają w łonie natury i jak trudno ludzkości je pojąć. Nie gromy, nie orkany, nie wielkie kataklizmy uwidoczniają nam największą siłę przyrody, ale geniusz. Dziecko trzyletnie, które opanowywa instrument, jak gdyby w poprzedniem istnieniu długo się z nim zaznajamiało, pięcioletnie, które tworzyć zaczyna, kilkunastoletnie, które zdobywa się na dzieła nieśmiertelne, wreszcie człowiek dojrzały, którego każde natchnienie jest wielkim wypadkiem w dziejach sztuki, to jest bardziej zdumiewające, niż trzęsienie ziemi lub piorun. „Gdy prawdziwy geniusz — powiada Swift — pojawi się na scenie, możecie go poznać po tem, że natychmiast wszyscy głupcy zawiązują przeciw niemu konfederacyę.“ Musiał to przymierze wywołać i Mozart. Właśnie wtedy, kiedy otworzyła się cała źrenica tego słońca sztuki, nietoperze i puszczyki zaczęły krążyć najliczniej i piszczeć najgłośniej. Wyśmiewano go lub pocieszano warunkowemi wróżbami, że usłuchawszy swoich mistrzów, może dojść do czegoś, spoglądano z góry na olbrzyma, któremu nikt dotąd w oczy nie zajrzał. Odleciały te wichry i zefiry głupoty, a kolos pozostał równie wspaniały a coraz bardziej czczony.

Na całym obszarze cywilizacyi dzień zgonu tej promieniejącej postaci będzie obchodzony uroczyście. Teatr nasz ma poświęcić mu wieczór i odegrać w całości lub częściach kilka jego dzieł. Będzie to dla publiczności warszawskiej dość rzadka sposobność usłyszenia dźwięków boskiej liry. Dziś tylko dwie opery Mozarta bywają u nas wystawiane i to w znacznych odstępach czasu. Można więc rzec, że my jeszcze nie należymy do jego kultu, święconego w teatrach europejskich. Twórca *Don Juana* jest dla nas bardziej geniuszem zakredytowanym, niż znanym, raczej bohaterem legendy, niż rzeczywistości. A jednak nikt duszy ludzkiej nie otwiera szerzej nieba sztuki, niż on.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Ożywienie przemysłu łódzkiego w świetle prasy ruskiej a zastój — w moskiewskim. — Uznanie zdolności kupieckich fabrykantów łódzkich. — „Na psa urok!“

Tułająca się od pewnego czasu nieśmiało w prasie warszawskiej i prowincyonalnej wieść, jakoby przemysł łódzki „ruszył się“ już, naprowadza na myśl, że albo on istotnie wychodzi z fazy odrętwienia zastojowego i zaczyna uderzać tętnem rekonwalescenta, albo też łudzi tylko źle zrozumianemi oznakami ożywienia przemijającego, które wynika ze spożycia zasobów uprzedniej nadprodukcyi. Któż zgadnie? Niezbadane są bowiem tajniki wytwórczości współczesnej, skłonnej ukrywać się pod gęstą zasłoną. To też gazeta charkowska, *Jużnyj Kraj*, usiłuje inną drogą dociec prawdy: nie sięgając okiem w zaklęte koło samej produkcyi „królewiąt“ łódzkich, podpatrzyła ją na rynkach Cesarstwa i zdjęła następującą fotografię: „Pod wpływem zastoju handlowego, wywołanego słabym obecnie rozwojem stosunków handlowych wiejsko-gospodarczych, fabryki Królestwa Polskiego zmniejszyły swą wytwórczość, ale teraz, gdy się pojawił popyt ożywiony na towar dla włościan, gdy zabrakło już rozporządzalnych zapasów polskich tanich towarów bawełnianych, okazuje się, jak daleko zaszedł zbyt polskich bukskinów, barchanów, chustek ciepłych itp. towarów dla włościan i jak wielki jest popyt na nie wśród nabywców, oddających im pierwszeństwo przed moskiewskiemi. Taniość, trwałość i piękność rysunku dają przewagę polskim towarom bawełnianym nad moskiewskimi. Polski bukskin, jak to widać było i na tegorocznym jarmarku pokrowskim w Charkowie, sprzedawany jest taniej od moskiewskiego i ma rysunek lepszy, a barchan polski odznacza się tą miękością, grubością i rysunkiem, które się podobają i robotnikowi na koszulę i babie na spódnicę. Barchan moskiewski odrobiony jest czyściej, ale zbyt lekki i cienki w porównaniu z polskim i dlatego nie czyni zadość potrzebom robotnika i włościanina; prócz tego jest on i droższy. Konstatujemy w danym wypadku fakt bardzo poważny— mówi *Jużnyj Kraj* — powstrzymując się jednak od wyjaśnienia przyczyn, które stworzyły takie istotnie nienormalne położenie, że włościanin kurski nosi spodnie koniecznie z bukskinu polskiego, koszulę z polskiego kreasu lub flaneli, a baba orłowska lub woroneżka spódnicę i kaftan z wyrobów również fabryk łódzkich. Co się tyczy Besarabii, Noworosyi, Krymu i Kaukazu, to tam więcej jeszcze korzystają z wyłącznej prawie przewagi towary włościańskie bawełniane, wyrobione w Królestwie Polskiem.“

Ten obrazek wywołał cały szereg uwag i wniosków w innych organach prasy ruskiej. Niektóre z nich zasługują na przytoczenie. *Nowoje Wremia* np. zapytuje, z czyjej winy „wytworzyło się tak smutne położenie rzeczy dla fabrykantów moskiewskich“ i przychodzi do wniosku, że ich zyski w guberniach wewnętrznych muszą być chyba bardzo wielkie, skoro tak obojętnie ustępują rynki współzawodnikowi zachodniemu, a *Birżewyja Wiedomosti* kreślą paralelę między okręgiem moskiewskim a łódzkim: „W czasach ostatnich daje się dostrzegać dziwna sprzeczność w sprawach naszego przemysłu fabrycznego. Podczas gdy z Moskwy donoszą o wielkim zastoju w interesach i o całym szeregu znacznych i drobnych wypadków upadłości, spowodowanych niepomyślną sprzedażą odleżałego towaru, wszystkie otrzymane jednocześnie z Łodzi wiadomości świadczą o silnem ożywieniu przemysłu miejscowego, wyrażającem się w popycie szczególnie na bojki i tanie gatunki barchanu. Według słów gazet miejscowych, przed składami fabryk, wyrabiających rzeczone towary, można widzieć codzień całe gromady kupców, którzy przyjechali do Łodzi z gubernij środkowych, oczekujących z niecierpliwością, aż ujrzą nareszcie wozy naładowane zakupionymi towarami. Mimo nieurodzaju, który dotknął osiemnaście gubernij i wysokich cen na zboże, co zmniejszyło siłę kupną u ludności gubernij pozostałych, fabryki łódzkie mają dostatek roboty na całą zimę i wcale nie będą potrzebowały zmniejszać swej wytwórczości. Według wiadomości tych samych gazet, dobrym zbytem cieszą się i inne wyroby łódzkie, szczególnie wszelkiego rodzaju tkaniny, wyroby bawełniane, jak np. szyrtyngi, madepolany, na które popyt nie ulega zmianom wskutek mody, fabryki zaś, wyrabiające te towary, nietylko są zawalone robotą, ale nawet zdołały nieco podnieść ceny towarów, będących w zapasie. Chustki zimowe i tańsze gatunki kortu idą dobrze, podczas gdy drogie czekają na kupców.“ Z tego powodu podobno nawet brak na obecnym jarmarku pokrowskim w Charkowie towarów łódzkich nie wpłynął na zwiększenie zbytu wyrobów moskiewskich, ponieważ kupujący mniemają, że one nie mogą zastąpić łódzkich. Brak ten miał nawet spowodować podskoczenie cen towarów łódzkich o 15%.

Jakaż tego przyczyna? *Birż. Wied.* widzą ją we względnie lepszej znajomości u fabrykantów łódzkich nastroju oraz stanu rynków Cesarstwa, a także w umiejętnem zorganizowaniu zbytu, którego losy powierzają nie pośrednikom prowincyonalnym, lecz całej armii zręcznych agentów i komiwojażerów, zawiązujących bezpośrednie stosunki pomiędzy wytwórcą a nabywcą — co, jeśli jest prawdą, świadczyłoby o skutkach działalności stałej wystawy prób i wzorów, jak również o zasługach generalnego agenta przemysłu tutejszego — p. Zaleskiego... „Zdaniem specyalistów — ciągnie dalej organ giełdy — w Łodzi, jak i wogóle wśród fabrykantów całego kraju nadwiślańskiego, jeszcze w zimie zwrócono uwagę na tę okoliczność, że oziminy w najurodzajniejszych guberniach Rosyi ucierpiały i że dla tego, nawet w razie zadawalających zbiorów zbóż jarych, środki nabywcze ludności włościańskiej muszą w najbliższym roku gospodarczym zmniejszyć się. Wskutek tego fabrykanci nadwiślańscy przez całą zimę i wiosnę roku bieżącego wyrabiali tylko towary tanie, bardzo racyonalnie licząc na to, że przy ograniczeniu środków pieniężnych, tylko te właśnie tanie towary, jakimkolwiek byłby ich gatunek, mogą znaleźć nabywców. Fabrykanci zaś moskiewscy (rozumiemy tu cały okrąg gubernii moskiewskiej, włączając produkcyę Iwanowo-Wozniesieńską), pamiętając o dobrym popycie na droższe gatunki towarów, jaki zauważono skutkiem wpływu dwóch dobrych urodzajów na wszystkich jarmarkach jesiennych w roku zeszłym, zwrócili całą swoją uwagę na przygotowanie przez zimę towaru droższego, licząc na dalszy wzrost siły nabywczej u ludności włościańskiej. Towar ten leży dotąd nie sprzedany, jeśli zaś nawet daje się dostrzegać w Moskwie popyt na towary tkackie, to zaledwie na ich gatunki najtańsze. Brak zaś kupców na inne wyroby, na których przygotowanie największy kładli nacisk fabrykanci moskiewscy, a rzecz główna — zupełny brak organizacyi kredytu na zastaw towarów, stały się przyczyną położenia krytycznego, w jakim się znalazł przemysł tkacki moskiewski.“ Do tego dołączyć trzeba wadliwą organizacyę zbytu. „Podczas gdy przemysł łódzki ma na usługi całą armię agentów i komiwojażerów nietylko w celu przyśpieszenia zbytu swych towarów, ale i dla zbierania wiadomości o zmieniających się gustach nabywców i ich położeniu ekonomicznem, fabrykanci moskiewscy po większej części, niestety, trzymają się swego dawnego systemu używania pośrednika-handlarza prowincyonalnego, zamiast się znosić z nabywcą bezpośrednio. Ta ostatnia okoliczność jest przyczyną objawów dostrzeganych obecnie na jarmarkach południowo - ruskich. Wskazując te objawy, podkreślamy niezbędność wprowadzenia i do dziedziny przemysłu moskiewskiego tego samego systemu bezpośrednich stosunków ze spożywcą, jaki dawno już na szeroką skalę praktykuje się na zachodzie i daje fabrykantowi możność nietylko korzystnie rozprzedać towar, ale i zawczasu odgadnąć potrzeby nabywcy, żeby stosownie do nich przygotować nowy towar.“

Jakiż z powyższych zainteresowanego widza uwag ty, czytelniku, wyciągnąłbyś wniosek? Że przemysł łódzki zwycięża. Tymczasem on sam tego się wypiera w kolumnach organu p. Scheiblera.

Od 1-go października w położeniu jego miały zajść zmiany „przeważnie ku gorszemu.“ „Wyroby z wełny czesankowej niewielu znajdują odbiorców. Podobnież wszelkie inne droższe, wełniane, mają odbyt bardzo słaby. Korty w lepszym gatunku odchodzą tak leniwo, że producenci byli zmuszeni zniżyć ceny o 10%. Natomiast najtańsze wyroby półwełniane, a szczególnie chusty, cieszą się jeszcze dość znacznym pokupem, ale po cenach stosunkowo również bardzo niskich. Zamówienia na nowy sezon

napływają nadzwyczaj ospale. Z wysłanych komiwojażerów wróciło dotąd zaledwie kilkunastu i przywieźli obstalunków znacznie mniej, niż zwykle. Nadeszłe zamówienia pochodzą głównie z gubernij południowych. Inne strony dotąd zupełnie nie dopisują, a do niektórych miejscowości fabrykanci obawiają się wysyłać nawet zamówionych towarów z powodu przewidywanego bankructwa kupców. Towary bawełniane drukowane w gatunkach droższych mają słabszy odbyt, niż w roku zeszłym; tańsze zaś gatunki bojek i lam znajdują chętnych nabywców i odchodzą w znacznych ilościach, lecz po cenach bardzo nizkich, jakie fabrykanci, z powodu stagnacyi na początku sezonu zmuszeni byli ustanowić dla wzmocnienia odbytu. Obecnie zaś, przy kończącym się sezonie, obawiają się ich podnieść. Wszelkie inne tkaniny bawełniane, białe i farbowane, *pomimo nizkich cen*, z *trudnością* znajdują nabywców, skutkiem czego zapasy tych wyrobów są w składach fabrycznych r. b. znacznie większe, niżeli były w r. z. o tej porze." W najgorszem położeniu mają znajdować się przędzalnie, „gdyż pomimo, że bawełna surowa, skutkiem upadku kursu rubla znacznie zdrożała, ceny przędzy bawełnianej jednocześnie uległy zniżce" i niepokrywają nawet kosztów produkcyi. Tak samo znowu „wogóle zwiększony od paru miesięcy odbyt na towary *tanie* nie powinien nikogo zaślepiać co do położenia naszego przemysłu, gdyż niezwykle niskie ceny oraz brak pokupu na wszelkie towary droższe" najlepiej mają dowodzić, że to położenie nie jest świetne. Słowem, ktoby chciał istotnej prawdy o właściwem położeniu wytwórczości łódzkiej „rozumem dochodzić" zginie a nie potrafi w nią ugodzić. Pocieszy się tylko, że fabryki łódzkie nie są jeszcze zmuszone ograniczać produkcyi...

Z. Atanazy.

ODCZYTY.

IV.

Wspólna przyczyna większości zjawisk, rysująca się coraz wyraźniej na horyzoncie zdobyczy naukowych, dzięki rozwojowi wiedzy pozytywnej, była osnową środowego odczytu p. I. Boguskiego o elektryczności i magnetyzmie.

Prelekcyę mówca rozpoczął zaznajomieniem słuchaczów z głównemi podstawami ruchu falistego, który, szerszym kołom publiczności zaledwie znany jest w najkonkretniejszej formie — falowania wody. Wykazawszy różnicę pomiędzy tym ruchem, a wibracyami ciał dźwięk wydającemi, wyrażającą się głównie odmiennemi prędkościami drgań, p. Boguski naszkicował obraz tworzenia się fal świetlnych i elektrycznych, których drgania wynoszą całe biljony w jednej sekundzie i przeszedł do wyjaśnienia zjawisk elektryczności statycznej. Zatrzymanie nieco dłuższe uwagi nad teoryą elektrycznego pola i elektrycznej iskry, będącej następstwem całego szeregu iskier, wywołujących na siatkówce oka złudzenie linii świetlnej, przygotowało słuchaczów do zrozumienia działania prądu elektrodynamicznego i zjawisk elektromagnetycznych, uzmysławianych szeregiem zajmujących doświadczeń.

Koniec odczytu stanowiło przedstawienie doświadczeń niemieckiego badacza, Hertza, w których wibratory (kamertony) w połączeniu z rezonatorem Helmholtza i rurką Gejslera wykazały publiczności niemal dotykalnie analogię, zachodzącą pomiędzy zjawiskami głosu, a siłą elektryczną.

V.

Osnową odczytu p. Kramsztyka było zapoznanie słuchaczów z najnowszemi zdobyczami astrofizycznego odłamu wiedzy w formie dalekiej od powszechnie znanych kwiatów poezyi Flamarionowskiej, którą zwykli brać za tło popularyzatorzy mechaniki nieba, niebaczni na to, że rzucanie w umysły łatwowierne hipotez, może bardzo prawdopodobnych, lecz opartych na gruncie nieutrwalonym siłą pozytywnych danych, wytwarza często błędne pojęcia o prawdach naukowych.

To też opuściwszy wszelkie domniemania, jakie ludzkość tworzyła w kolebce swych władz umysłowych o budowie wszechświata, p. Kramsztyk rozpoczął prelekcyę o księżycu zaznaczeniem chwili pierwszego ukazania się teleskopów i okazaniem słuchaczom tych prawd, jakie zdobyła nauka, oparta tylko na podwalinie prawd matematycznych.

Mieliśmy więc z początku przedstawiony za pomocą osobnego przyrządu ruch księżyca około ziemi, teoryę jego lunacyj, znaczenie synodycznego i gwiazdowego miesiąca, różnicę tych okresów czasu, wynikającą z opóźnienia biegu księżyca, wyjaśnienie, dlaczego towarzysz globu naszego jedną tylko półkulą zwrócony jest do ziemi, który to objaw wykazał prelegent jako właściwy i innym ciałom kosmicznym, uogólniając tym sposobem prawa mechaniki nieba. Następnie zastanowił się nad wymiarami księżyca, jego odległością od ziemi, długością średnicy, powierzchnią, objętością, wagą, ustosunkowaniem siły ciężenia, a naszkicowawszy jej prawa i siły odśrodkowej, wyłożył znaczenie biegu księżyca w historyi fizyki i astronomii, z którego to ruchu geniusz Newtona wysnuł jedno z najpotężniejszych praw natury — powszechne ciążenie. Następnie wyjaśnił p. K. wspólne oddziaływanie na siebie ciał niebieskich, a w danym wypadku księżyca na ziemię, czego dowodem jest opóźnianie się obrotu wirowego tej ostatniej, które wyraźnie odczuje ludzkość, żyjąca dopiero po upływie 16,000 lat przez zwiększenie doby o jedną godzinę i przeszedł do topografii księżyca. Mapy Maedlera, Schmidta i innych zaznajomiły słuchaczów z budową powierzchni towarzysza ziemi, rysującej się w teleskopie pod postacią zdradzającą całymi szeregami pierścieniowych gór i zagasłych wulkanów silnie wulkaniczną naturę, a dotknąwszy nieco termicznych i klimatycznych warunków, zakończył tem krótką wycieczkę do kraju Uranii.

VI.

Wino było przedmiotem środowego odczytu p. Milicera, chociaż właściwie mówiąc, pod tym pseudonimem prelegent krył myśl zaznajomienia słuchaczów z fermentacyą alkoholową. Przedewszystkiem więc mieliśmy okazane, że najpoważniejszymi składnikami wina są woda i alkohol, z domieszką stałych, mineralnych i azotowych substancyj, które p. M. uwidocznił, przedstawiając publiczności brunatny osad, pozostały po odparowaniu wina. Naszkicowawszy własności tego płynu, przeszedł do okazania składowych części alkoholu i udowodnił szeregiem doświadczeń, że ciało to zawiera tylko tlen, węgiel i wodór.

Następnie mówca zwrócił uwagę słuchaczów na smak wina, w którem uwydatnia się pewnego rodzaju słodycz, będąca wynikiem obecności cukru gronowego, który pod wpływem biologicznych procesów pewnych ustrojów, zwanych drożdżami (mikoderma) ulega rozkładowi na alkohol i bezwodny dwutlenek węgla. Wykazawszy, że proces ten może mieć miejsce tylko przy działaniu na sok winny atmosfery, zawierającej te drobnoustroje, prelegent pouczającemi doświadczeniami uzmysłowił teoryę tych domniemań i napomknąwszy o ubocznych produktach fermentacyi alkoholowej (koos bursztynowy, gliceryna), zwrócił się do fermentacyi octowej, często szkodliwej dla winiarzy, a dla której badania Pasteur'a wynalazły tarczę ochronną. W końcu mieliśmy uzmysłowione tablicami biologiczne procesy drożdży, a przedstawienie kilku cyfr z rocznej produkcyi wina w Europie zakończyło ten zajmujący odczyt.

Bronisław Wyganowski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. P. Zawada, dyrektor szkoły ogrodniczej w Częstochowie, stara się o zakładanie stacyj doświadczalnych pomologicznych przy domkach dróżniczych na liniach kolejowych. Jednocześnie projektuje urządzanie plantacyj owocowych (głównie śliwek i jabłek) przy drogach szosowych, w takich miejscach, gdzie mieszkają dozorcy.

— Ministeryum sprawiedliwości opracowywa plan przekształcenia instytucyj mierniczych. Kancelarye miernicze, istniejące dotąd przy zarządach gubernialnych, będą zniesione a natomiast powstaną wydziały w siedliskach sądów okręgowych i izb sądowych. Geometrzy podzieleni będą na etatowych, zostających na służbie głównego zarządu mierniczego i oddziałów tudzież na geometrów przysięgłych. Ostatni dla zdobycia kwalifikacyi pierwszych, powinni oprócz wykazania odpowiedniego wykształcenia, odbyć praktykę dwuletnią. Wynagrodzenie za roboty, powierzane im zarówno przez instytucye rządowe, jak i osoby prywatne, powinno być pobierane według taksy, ustanowionej przez ministeryum sprawiedliwości.

— W wielu miejscowościach nad brzegiem Wisły włościanie stale wyniszczają wiklinę służącą do zatrzymywania ław piaskowych, posuwających się z koryta rzeki ku gruntom nadbrzeżnym. Z tego powodu władze administracyjne wydały następujące rozporządzenie: w łozach i wiklinach pasać bydła nie wolno, koszykarze zaś wyrąbywać mogą tylko tam, gdzie pasma nadbrzeżne mają szerokości najmniej 30 sążni i to według pewnego porządku, na wzór porębów leśnych. Za niszczenie wierzb i topoli nadbrzeżnych ustanowiona będzie odpowiednia kara pieniężna.

— Z rozporządzenia władzy wyższej, w ryzkim komitecie giełdowym i banku wprowadzony będzie język ruski.

— Dn. 12 stycz. 1889 r. we wszystkich więzieniach w Królestwie Polskiem znajdowało się aresztowanych wszelkiej kategoryi 7,259 mężczyzn i 1,546 kobiet. W ciągu 1890 r. przybyło 40,688 mężczyzn i 8,835 kobiet; ubyło 40,698 mężczyzn i 8,835 kobiet.

— *Prawit. Wiest.* pisze. „Najbardziej od nieurodzaju ucierpiały gubernie nad średnią i dolną Wołgą, środkowe rolnicze i w części naduralskie. Potrzeba im jeszcze oprócz własnych zbiorów, około 100 milionów pudów. W guberniach przemysłowych północnych, północno-zachodnich i nadwiślańskich urodzaj jest średni; w malorosyjskich, południowo-zachodnich, noworosyjskich i nadbałtyckich, urodzaj jest więcej niż zadawalający. W guberniach tych przeciętny czysty remanent zbóż na jedną duszę wynosi $27\frac{1}{2}$ puda; znaczna przewyżka pójdzie do miejscowości, dotkniętych nieurodzajem. Zasoby żywnościowe wzmogą się jeszcze wskutek szczególnie obfitego urodzaju na północnym [illegible]."

— Sprawa dalszego istnienia kas przy fabrykach i zakładach przemysłowych w Królestwie Polskiem (rozporządzających funduszem dla chorych) przedstawiona będzie do rozstrzygnięcia ministeryum skarbu. Obie inspekcye fabryczne w Królestwie uznały pożytek tych instytucyj, lecz zastrzegły, iż organizacya ich powinna być zatwierdzona przez wyższą władzę. W innych kwestyach wątpliwości pod względem rozciągnięcia dozoru nad fabrykami lub robotnikami, postanowiono stosować art. od 91 do 111 i od 128 do 156 ustawy o przemyśle fabrycznym do prywatnych zakładów litograficznych lub drukarni, posługujących się motorem mechanicznym, albo zatrudniających więcej niż 16-tu ludzi. Artykuły te stosowane będą do wszelkich zakładów przemysłowych lub warsztatów rzemieślniczych, zatrudniających więcej niż 16-tu pracowników, tudzież do robotników t. zw. „podręcznych," tj. pracujących stale w pewnym okręgu fabrycznym, lecz tylko najmowanych do pomocy. Mają oni wszelkie prawa opieki rządowej, lecz zachowują dotychczasową oddzielną formę książeczki rachunkowej.

— Sądownicy w Galicyi podali prośbę o dodatek do pensyi z powodu wzmagającej się drożyzny.

Szkoły. Na najbliższym zjeździe elektrotechników ruskich rozpatrywany będzie pomiędzy innymi projekt włączenia do programu szkół rzemieślniczych wykładu elektrotechniki. W razie przyjęcia projektu ogłoszony będzie konkurs na napisanie stosownego podręcznika.

— Wojenną Akademię medyczną w Petersburgu ukończyło około 100 studentów, a z nich 30 z odzna[illegible].

— P. oberpolicmajster poleca w *Gazecie policyjnej*: „W sprawie rozciągnięcia nadzoru celem zapobieżenia nieprawemu nauczaniu dzieci, komisarze cyrkułowi winni ściśle postępować podług następujących rozporządzeń. 1) wszelkie zbiorowe nauczania mają charakter szkoły i dlatego osoba, życząca zajmować się zbiorowem uczeniem dzieci, bez względu na ich liczbę powinna uzyskać od p. kuratora warszawskiego okręgu naukowego pozwolenie na otwarcie i utrzymywanie

szkoły; 2) zakład, którego właściciel nie posiada takiego pozwolenia, uważany jest za szkołę potajemną i powinien być natychmiast zamknięty; 3) dzieci w domach prywatnych mogą uczyć *pojedynczo* w charakterze guwernerów lub guwernantek tylko te osoby, które na prawo uczenia posiadają odpowiednie świadectwa; 4) *ob.* świadectwa wydane nauczycielom i nauczycielkom dają im prawo na udzielanie lekcyj w domach i szkołach prywatnych, lecz nie upoważniają do uczenia u siebie w domu." .

— Z polecenia władzy edukacyjnej zamknięto na prowincyi: jednoklasową szkołę ogólną w Piotrkowie, 2-klasową żeńską, 1-klasową ogólną dla żydów w Suwałkach, 4-klas. żeńską w Maryampolu i 1-klas. ogólną w Suwałkach.

— Ministerya oświaty i spraw wewnętrznych wydadzą nową instrukcyę dla nauczycieli wiejskich. Ci, którzy ulegać będą wpływom ubocznym, uwalniać uczniów od lekcyi na polecenie zarządu gminnego, lub zezwalać na używanie pomieszczenia szkolnego na inne cele, podlegną karze dyscyplinarnej. Obowiązkiem komisarzów włościańskich będzie doglądanie, aby zarządy i zebrania gminne żadnych postanowień względem szkółek wiejskich nie wydawały, z wyjątkiem — zakładania nowych i obmyślania środków na ich utrzy-[illegible]

— Uniwersytet dorpacki przekształcony będzie na wzór innych w państwie.

— Kuratorowie okręgów naukowych zbierają dane w sprawie wprowadzenia w szkołach elementarnych wykładów ogrodnictwa, sadownictwa itd.

— Na wydziale lekarskim w uniwersytecie warszawskim wprowadzono nowy przedmiot — bakteryologię dla kursu 3-go. Katedrę objął prof. Łukjanow.

Sprawy kolejowe. Stacya telegraficzna kolei Wiedeńskiej z początkiem r. p. powiększona będzie o 32 telegrafistów.

— Ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, iżby na stacyach kolejowych w miejscach widocznych wywieszano urzędowe ceny zboża, okowity, oraz wiadomości o ulgach taryfowych dla przewozu tych produktów kolejami i wodą.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej uwalnia kilkunastu robotników, z powodu braku roboty (szczególnie kowalskiej) w warsztatach.

— W zjeździe przedstawicieli kolei w Sztokholmie biorą udział Wiedeńska i Dąbrowska.

— Połączenie odnogi Aleksandrowskiej kolei Wiedeńskiej z Wisłą nastąpi za pośrednictwem stacyi Nieszawa, gdzie się znajduje komora celna dla towarów przychodzących Wisłą z zagranicy. Roboty ziemne będą rozpoczęte w r. p. Połączenie to jest bardzo ważne dla handlu.

— Zaprojektowano budowę (na wiosnę) nowej kolei od Białegostoku przez Suraż, Briańsk i Drohiczyn.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych urządza w Winnicy centralny dom dla obłąkanych, pochodzących z guberni połudn owo-zachodnich.

— *Gazeta policyjna* ogłasza: „W ostatnich czasach zauważono, że niektórzy właściciele domów, celem uniknięcia wydatków na wywózkę nieczystości ustepowych, pozwalają sobie w nocy, za pośrednictwem [illegible] i najemników wypompowywać nieczystości do rynsztoków, zarażając powietrze w całej dzielnicy. Dla zapobieżenia takim przekroczeniom, polecam pp. komisarzom zarządzić, aby stróże służbowi i nocni z kantoru posłańców o każdem takiem bezprawiu zawiadamiali strażników policyjnych na posterunkach, a ci obowiązani są przeszkodzić spełnianiu nadużycia i następnie wskazać zwierzchności nazwiska właściciela, rządcy i stróża domu, w którym pozwolono sobie na tego rodzaju wykroczenie przeciw przepiso[illegible]

Wypadki. Z rzeki Optuchy wydobyto 26 ofiar katastrofy. Ze służby pociągowej zginęło 3-ch ludzi; 15-tu ranionych przewieziono do szpitala w Orle.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

B. W. K. w Łęcz. Książki to niezłe, choć zarecenzja wydawcy, jak zwykle w reklamach, przesadne. Dla samouków najlepsze jest: gramatyka, słownik i tłomaczenie utworów wzorowych.

E. B. Zrozumie Pan łatwo, że w sądy o tej fałszowanej sprawie muszą wkradać się niedokładności. Chociaż znowu odebraliśmy wiadomości z miejsca od naszych czytelników zgodne z zakwestyonowanem przez Pana zdaniem.

Pani Hel. H. To nie utwór artystyczny, ale notatka pomysłu.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 22 Ноября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**